

Folha Polonêsa

Przegląd Polski

REVISTA POLONÊSA

ROK 2. N.º 7 — STYCZEN-LUTY — 1961



Przegląd Polski

REVISTA POLONÊSA

D W U M I E S I Ę C Z N I K

N.º 7 — STYCZEŃ - LUTY — 1961

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY : João Castaldi del Ruccillo

Redaktor: Seweryn A. Hartman

Dyrektor : Stanisław Biliński

Wydaje: Sociedade Brasileira de Expansão Comercial Ltda.

Redakcja i administracja : rua Barão de Itapetininga, 221
conj. 1203 — Fone : 35-5584 — SÃO PAULO, Brasil

Warunki prenumeraty: 300 Cr\$ rocznie (za 6 numerów)

Za granicą US \$ 2,00

Rękopisów i zdjęć niezamówionych redakcja nie zwraca.

Złożono i tłoczono w Drukarni "Ludu" - Kurytyba, Al. Cabral 846

KORZYSTAJCIE Z USŁUG

Companhia para Expansão da Construção

"COEXCO"

COEXCO inkorporuje nowoczesne i komfortowe domy mieszkalne.
W domach COEXCO rozmieszczenie mieszkań, ich wykończenie i estetyka pozostają na najwyższym poziomie.

Pięć zasad COEXCO:

niezawodny termin
stała, niezmienna cena
własne tereny
staranne wykończenie
sprzedaż na raty

COMPANHIA PARA EXPANSÃO DA CONSTRUÇÃO "COEXCO"

São Paulo, r. São Bento, 279 — 12 piętro. Tel. 33-4737

MIRVAINE

Importação Ltda.

—★—

Importação de relógios

Rua Cons. Crispiniano, 379

6.º Andar — Sala 604

Telefone: 35-3846

SÃO PAULO

—: ★ :—

PLASTICOS DO BRASIL S.A.

Rua Cons. Crispiniano, 58 — Tel.: 34-7127

SÃO PAULO — BRASIL

PRODUK C J A :

Okladziny i taśmy hamulcowe "THERMOID"

dla samochodów osobowych i ciężarówek

Dekoracyjne i techniczne płyty plastyczne "FORMICA"

Rezyny syntetyczne "PLASTIKOL"

DELACO

Comércio e Indústria Ltda.

laminados plásticos,

decorações, revestimentos

SÃO PAULO, Rua Consolação, 825

Fone: 34-1246 e 32-1022

Sprzedaż FORMICA w arkuszach
i kawałkach.

Jedyna firma w São Paulo wyspecjalizowana we wszelkich dekoracjach, aplikacjach i meblach artystycznych, wyłącznie z "FORMICA".

WITAMY JANIO QUADROS

Dnia 31 st. b.r. objął władzę prezydent Janio Quadros.

Z osobą nowego prezydenta Polonia brazylijska wiąże duże nadzieje. Nie pragnie ona w kraju, który stał się jej drugą ojczyzną, żadnych przywilejów. Chce jedynie pracować spokojnie w warunkach równości, wolności i demokracji i chce, żeby wysiłek jej był pozytywnie oceniony. Nikt bardziej, niż Janio Quadros nie potrafi tego zrozumieć. Wychowany w Paranie, w środowisku, w którym żywioł polski jest licznie reprezentowany, widział co kolonista polski zrobił dla gospodarki i kultury Brazylii. Jego oświadczenie z okresu kampanii wyborczej, w którym stanął na stanowisku zniesienia krzywdzących ograniczeń dla obywateli naturalizowanych, pozwala wierzyć, że będzie się starał zmienić ustawy dyskryminacyjne wprowadzone przez rządy dyktatorskie.

NASZ ROCZNY BILANS

Minął rok od czasu, gdy podjęliśmy pionierski wysiłek wydawania drugiego w Brazylii pisma polskiego, które obok bratniego "Ludu" służyć ma interesom Polonii brazylijskiej.

Czas więc aby podsumować wyniki i zastanowić się nad brakami i osiągnięciami "Przeglądu Polskiego".

Trudne warunki finansowe i techniczne nie pozwoliły na całkowite wywiązanie się z zobowiązań. Nie mogliśmy ani zwiększyć objętości, ani doprowadzić do częstszego ukazywania się pisma. Zdajemy sobie sprawę, że w obecnych warunkach kontakt Czytelnika z nami jest zbyt luźny, nie trafiamy do wszystkich skupisk polskich i nie możemy odzwierciedlić ich działalności. Ponadto wskutek zbyt rzadkiego wychodzenia czasopisma wiele informacji traci na aktualności. Wiemy też, że dało by się wprowadzić korzystne zmiany do treści i strony graficznej pisma.

Ale proszę nam wierzyć, że to co robimy i tak wymaga niestychanego wysiłku i poświęcenia. Podkreślamy: **WYSIŁKU I POŚWIĘCENIA**. Krążą wprawdzie pogłoski, rozpowszechniane przez ludzi złej woli, że otrzymujemy subwencję i opływamy w dostatki, rzeczywistość jednak jest całkowicie odmienna. Rok 1960 zamknęliśmy deficytem w wysokości prawie 50 tys. kruczejrów, pokrytym z kieszeni wydawcy. Utrzymujemy się jedynie z ogłoszeń, ofiar na Fundusz Prasowy i prenumeraty. Wszystkim, którzy w to wątpią chętnie udostępnimy nasze dokumenty finansowe.

Ktokolwiek będzie wam opowiadał, że dostajemy subwencje powiedzcie mu, że jest kłamcą i oszczercą. Możecie mu też powiedzieć, że dość już mamy spokojnego przypatrywania się temu jak różni osobnicy włączają się po przedsiębiorstwach polskich domagając się wstrzymania nam ogłoszeń pod pokrywką rzekomego subwencjonowania naszego wydawnictwa przez Polskę Ludową. Osobnicy ci posuwają się nawet do twierdzenia, że otrzymaliśmy milion kruczejrów na czcionki, choć nie łatwiejszego, niż sprawdzenie, że składamy i tłoczmy pismo w drukarni "Ludu" w Kurytybie.

Upprzedzamy oszczerców, że znane nam są ich nazwiska i że w razie nie zaprzestania szkalowania nas oddamy sprawę do sądu i będziemy się domagać odszkodowania moralnego i pieniężnego. Sądźmy, że zrozumieją co robią, gdy się ich uderzy po kieszeni. Jest to bowiem, jak się wydaje, jedyny sposób, trafienia im do rozumu i sumienia.

Życzymy prezydentowi Janio Quadros powodzenia w jego walce o lepsze jutro Brazylii i zapewniamy, że wszyscy Polacy i Brazylijczycy polskiego pochodzenia staną z nim ramię w ramię w tej słusznej i sprawiedliwej walce.

CAVALOS

Por L. ROMANOWSKI

Claude Bernard escreveu que o homem seria mais feliz se se libertasse dos sistemas filosóficos e científicos que criou. Não concordo de todo com ele. Mas talvez ele tenha razão. Contudo, hoje, isto é impossível. A lei retroativa é contrária à vida. E mesmo as impressões de todas as nossas atividades são tendões históricos que dessa ou daquela maneira nos prendem aos fatos do passado. O homem de hoje recalca em si ilusões, erros, observações certas ou defeituosas, problemas confusos que o cercam como espelhos côncavos, refletindo o seu rosto numa profusão de imagens completamente diferentes como ele se julga. E, diante disso, ele sente-se apavorado, sem confiança e sem energia. Anseia por uma felicidade equitativa, humana, mas tem medo do dia de amanhã. Desconfia dos outros e vai-se tornando cada vez mais individualista e, portanto, menos feliz, porque vai recalçando em si todos os sonhos que poderia cristalizar e se tornar mais útil ao próximo, aproximando-se de Deus. "Quem fazer num dilema assim?" — pensei, num dos domingos em Porto Alegre, e resolvi ir ao prado para passar o tempo. Ali, mais perto dos irracionais, presumi que me sentiria melhor do que rodeado pelos intelectualizados. Engano. Logo de chegada o meu instinto lúcido acordou-se. Comprei uma pule no cavalo que deveria ganhar na certa. Quanta ingenuidade! O meu número foi um fracasso. Não me conformei e tentei mais duas ou três vezes. Sempre a mesma coisa. Os cavalos da minha escolha primavam pela desclassificação. Compreendi então que um escritor jamais poderia se acertar com os cavalos... Diante disso, antes mesmo que a tarde viesse, deixei o prado. Pelo caminho comeci a filosofar sobre homens e cavalos. Extravagância de quem estava intoxicado de livros, de exemplos e de almas. Por fim veio-me à lembrança um fato que ocorreu com o Desembargador Santa Rita. Santa Rita era Desembargador, nascera no Paraná e escrevera uma novela "Emi". Na mocidade havia sido amigo do poeta negro Cruz e Souza. Pois bem: um dia iam ele e Cruz e Souza por uma das praias no Rio de Janeiro. Conversavam sobre a poesia, enquanto contemplavam a paisagem. Mas nisso foram despertados por um tropel. Eram três cavalos em disparada que vinham contra eles. O poeta simbolista, ao percebê-los, meteu a mão no peito do amigo e gritou:

— Afasta-te Santa Rita! Na vida como na arte os cavalos passam e os homens ficam.

— Quanta verdade encerrava a exclamação do poeta negro — disse-me o autor de "Emi". — Todos os dias vêem-se os cavalos da vida subirem, tomarem posições, tornaram-se preponderantes, enquanto os homens de cultura, permanecem presos ao seu ideal como semprevivas que afrontam a variedade de intempéries à proporção que os dias passam...

(Conclue na página 2)

Naszych zaś Czytelników zapewniamy, że będziemy się starali w miarę sił i możliwości podnosić poziom pisma. Prosimy przy tym o darzenie nas zaufaniem i o poparcie moralne i materialne. Są to rzeczy konieczne, abyśmy mogli wytrwać na placówce, o której wielu naszych wrogów i fałszywych przyjaciół mówi, że jest placówką straconą.

REDAKCJA

PRZERAŻAJĄCE ODKRYCIE

W aktach procesu norymberskiego znajdują się dokumenty mówiące o rozstrzelaniu 50 oficerów RAF i lotnictwa amerykańskiego, którzy w nocy z 24 na 25 marca 1944 roku usiłowali zbiec ze Stalagu Luft. III. W swej książce pt. "Pod biczem swastyki" lord Russell od Liverpool pisał na ten temat:

"...w nocy z 24 na 25 marca 1944 r. siedemdziesięciu sześciu oficerów uciekło z obozu jeńców wojennych Stalagu Luft. III w Zaganiu na Śląsku. Piętnastu z nich ujęto ponownie i z powrotem osadzono w obozie, trzem ucieczka powiodła się, ośmiu zatrzymało Gestapo, pozostali pięćdziesięciu rozstrzelano".

Kiedy przed Trybunałem Norymberskim padała nazwa Stalagu Luft. III, nikt zapewne nie przypuszczał, że wiadomość o nim i o pobliskim Stalagu VIII C w kilkanaście lat później znów obiegła cały świat, że zbrodnicze rozstrzelanie lotników angielskich i amerykańskich — to tylko niewielki fragment zbrodni, którą popełnili w tych obozach Niemcy na jeńcach wojennych różnych narodowości.

Przypomnijmy pewne fakty. W roku 1958 na południe od Zagania w województwie zielonogórskim w odległości kilkuset metrów od dawnego Stalagu VIII C odkryto masowy grób. Komisja do Badania Zbrodni Hitlerowskich powołała ekspertów lekarskich i

przesłuchała sporo świadków. Na podstawie ich zeznań oraz na podstawie szczątków znalezionej odzieży (guzików od mundurów) i zapisów w odnalezionych w Zaganiu niemieckich księgach zgonów (odnotowano w nich nazwiska tych jeńców, którzy zginęli w okresie pracy u niemieckich właścicieli gospodarstw) — ustalono, że w grobach spoczywają szczątki zmarłych i pomordowanych jeńców wojennych z kilkunastu krajów: Anglii, Belgii, Czechosłowacji, Francji, Grecji, Holandii, Jugosławii, Kanady, Maroka, Polski, Tunisu, USA, Włoch i Związku Radzieckiego.

Jaką śmiercią zginęli ci ludzie? Z zeznań świadków wynika, że epidemie i głód oraz praca, która trwała od wczesnego świtu aż do późnej nocy i wycieńczała jeńców do ostatnich granic — zbierały codziennie obfite żniwo. Jeńcy jednak umierali nie tylko z chorób i głodu. Uszkodzone kości czaszki, postronek na szyi, sznur krępujący nogi, pęta wiążące dwa ciała — oto co ujawniło odkopanie grobów. Nie ulega wątpliwości, że ginęli tu ludzie od gwałtownie zadanej im śmierci. A ilu zginęło? Oblicza się, że obóz liczył około 40 tysięcy jeńców wojennych. Gdy w lutym 1945 roku Niemcy ewakuowali obóz — kolumna jeńców nie liczyła więcej niż 12 tys. osób.

Według zeznań świadków — do obozu przywieziono około 10 tys. jeńców angielskich i amerykańskich. Niewielu ich wyprowadzono z obozu w 1945 roku.

Po odkryciu grobów w rejonie Stalagu VIII C poszukiwania trwały dalej. We wrześniu br. na południe od Zagania dokonano nowego, przerażającego odkrycia. W młodym brzoza-sosnowym lesie odnaleziono zakopane w piaszczystej ziemi szczątki ludzkie. Pierwsze pomiary wykazały, że cmentarz grobów indywidualnych zajmuje tu powierzchnię co najmniej 94 x 245 m.

Po kilku dniach w odległości kilkunastu metrów od cmentarza grobów indywidualnych odkryto mogiły masowe, które rozciągają się na obszarze 12 640 m². Kości ludzkie leżą tu na różnych głębokościach: od jednego metra poczwórnie aż do 2,5 m.

Z pierwszych badań eksperta lekarskiego — kierownika Zakładu Medycyny Sądowej Akademii Medycznej w Poznaniu, docenta dr. Edmunda Chrościelewskiego wynika, że są to szczątki ludzi młodych w wieku od 18 do 30 lat. Kości ofiar są przesycane jasnofioletowym barwnikiem. Świadczyłoby to o polaniu zwłok bądź płynem dezynfekcyjnym, bądź też takim, który miał przyspieszyć rozkład zwłok. W jednym z indywidualnych grobów znaleziono jeniecki znaczek tożsamości z napisem: "Stalag 308 nr 17512", a w masowym grobie — medalik z napisem: "Święta Tereska od Dzieciątka Jezus — deszcz róż".

Poszukiwania trwają nadal. Najbliższe tygodnie niewątpliwie wyjaśnią dalsze szczegóły tej jeszcze jednej zbrodni hitlerowskiej, popełnionej nie przez SS czy Gestapo, lecz przez Wehrmacht, pod którego zarządem znajdowały się obozy jenieckie w rejonie Zagania.

W KILKU WIERSZACH

W Viareggio we Włoszech zmarł w wieku 70 lat jeden z najbardziej popularnych przedwojennych aktorów rewiowych, współzałożyciel kabaretu "Qui pro quo", Fryderyk Jarossy. Zmarł od r. 1945 mieszkał stale w Londynie.

☆

W br. Polska zajmie trzecie miejsce jako eksporter faj w skali światowej. Polska eksportuje również znaczne ilości produktów jajczarskich (masy mrożonej i proszku), drobiu białego i pierza. Artykuły te dawały rocznie w ciągu ostatnich lat 18 mln. dolarów. W roku 1959 eksport tej grupy towarów przekroczył sumę 30 mln. dolarów.

☆

Stanisław Skrowaczewski rozpoczął jesienny sezon na czele orkiestry symfonicznej w Minneapolisie, której jest obecnie dyrektorem. Wraz z tą orkiestrą nasz dyrygent objedzie trzydziści miast na zachodzie USA. Poza tym Skrowaczewski zaangażowany został na cykl koncertów z nowojorską orkiestrą symfoniczną. Ma on zastąpić w Nowym Jorku niedawno zmarłego Mitropoulosa.

☆

Elektryczne pociągi dojeżdżają do Wrocławia. Po zakończeniu prac na trasie Gliwice — Opole — Wrocław długość zelektryfikowanych tras kolejowych w Polsce przekroczyła już pierwsze 1000 kilometrów.

W czasie próby smakowej w gronie znawców, dokonanej w Warszawie, podano kolejno 7 różnych mieszanek, sporządzonych z dwóch gatunków kawy: "Santos" i Parana", zmieszanych w różnym stosunku. Gościom najbardziej smakował czysty "Santos".

☆

Ok. 6250 łóżek szpitalnych przybędzie w całym kraju w 1961 r., w tym 4150 miejsc w nowych placówkach leczniczych, a reszta w budynkach adaptowanych bądź też rewindykowanych. Wskaźnik łóżek na 10 tys. mieszkańców wzrośnie dzięki tym inwestycjom z 45 w br. do 46,6 w 1961 r.

☆

Puszcza Białowieska obfituje w takie unikatki przyrody, jak świerki o grubości pnia od 100-

130 cm, lipy od 150-200 cm, czy dęby od 160-200 cm.

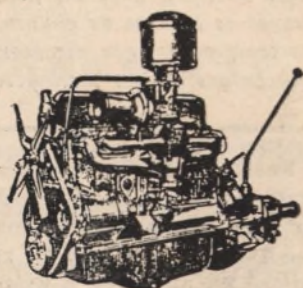
A jaki jest stan zwierzyny? Żubrze stado sięga setki, 1/3 jego żyje na wolności, reszta w rezerwacie. Najlicniejszą grupę zwierząt w puszczy stanowią dziki. Jest ich 750. Potem jelenie (550), sarny (280) i lisy ponad (200). Oprócz tego spotyka się tchórze, wiewiórki, zające, borsuki, głuszce i jarząbki. Nie brak i drapieżników. Według pobieżnych obliczeń w puszczy żyje 55 rysów i 25 wilków.

☆

Na zeszłoroczną pogodę w Polsce narzekali wszyscy z wyjątkiem amatorów grzybobrania. Urodzaj grzybów był wyśmienity. Wystarczyło wybrać się we wrześniu i na początku października nawet do podmiejskich lasów, aby zapelnąć koszyk.

**Retificadora
Braspol Ltda.**

Montaże częściowe i całkowite wszelkich typów motorów oraz naprawy.



Rua Mal. Floriano, 1773.
Fone: 4-2635

CURITIBA — PARANÁ

CAVALOS

(Conclusão da página 1)

Tudo isso rememorei naquela tarde, e um sorriso irônico torceu-me os lábios. Creio que cheguei mesmo a murmurar: "Qual, um escritor jamais se acertará com os cavalos, sejam eles de duas ou de quatro pernas..."

* * *

- 1 — Santa Rita, escritor e jurista paranaense.
- 2 — Cruz e Souza, poeta brasileiro, nasceu no Estado de Santa Catarina. Escreveu: "Caminho da Glória", "Missal", "Broqueis", "Farois" etc. Era negro e foi o maior simbolista do seu tempo.

Po przejechaniu szosy doznaję nagle uczucia jakbym po długim namyśle skoczył do zimnej wody. Mięśnie się rozluźniają, umysł pracuje z dziwną jasnością. Chce mi się śmiać teraz z obaw i wahań, chociaż wiem, że długo jeszcze nie będę od nich wolny.

Polecam zapalić światła, aby przyspieszyć ruch i zwiększyć element zaskoczenia. Widzę, jak zapalają się lampy w pierwszym i trzecim szwadronie. Drugi, jadący bezpośrednio za mną, wciąż jeszcze posuwa się w ciemności.

Powtarzam rozkaz i słyszę w słuchawkach intercom czyjś głos:

— Tadziu, stary każe zapalić światła. Wariat!

— Wariat, nie wariat — wtrącam się do rozmowy. —

Tak przecież wyobrażałem sobie zaskoczenie.

Kolumna kieruje się na lewo. Nie jestem jednak zupełnie spokojny. Wracą napięcie i niepewność. Dręczy mnie minięte przed chwilą rozwidlenie dróg. Jedziemy wprawdzie brukowaną szosą, ale jakiś dziwny instynkt, ów szósty zmysł, tak rozwinięty na wojnie, szepcze, że coś tu nie w porządku.

Sprawdzam kompas. Nie działa dokładnie w masie żelastwa czołgu. Igła kręci się i skacze. Staram się zorientować po gwiazdach. Widzę konstelację Oriona, mam ją przed sobą, a więc kierunek powinien być dobry. A jednak...

Tymczasem nie można się cofnąć, ani nic zmienić. Kolumna szybko zjada kilometr, jedzie równym tempem

powiada, że Champaux. Szukam tej miejscowości gorączkowo na mapie i długo nie mogę znaleźć. Wreszcie znajduję i robi mi się gorąco.

Jesteśmy nie w pobliżu Chambois, ale 15 km od niego, tak samo prawie daleko, jak w chwili, gdy rozpoczęliśmy marsz ze wzgórza 262, za to dwadzieścia kilometrów za wczorajszą linią frontu, na tyłach niemieckich.

Rany boskie, a więc od skrzyżowania pojechaliśmy nie na południe tylko na wschód!

Świta, zaskoczenie skończy się za kilka minut i za kilka minut rozpocznie się taniec.

Postanawiam przerwać ciszę radiową i kontynuować działania w zmienionej formie. Będziemy się przebić walcząc. To czego chciałem uniknąć jest teraz nieuniknione. Za wsią będziemy mogli osiągnąć właściwy kierunek. Skręcimy w prawo na szosę, którą powinniśmy byli pojechać z owego fatalnego rozwidlenia. Istnieje jeszcze nadzieja osiągnięcia Chambois.

Mówię:

— Przerywam ciszę radiową. Celina (pierwszy szwadron) meldować sytuację.

Celina melduje prawie natychmiast:

— Znajduję się w środku wsi. Przede mną niemiecka kolumna samochodów ciężarowych w marszu. Słucham.

— Otworzyć ogień — rozkazuję — następnie kontynuować marsz. Za wsią skrócić w prawo.

W parę sekund po moim rozkazie wybucha na przodzie gwałtowna strzelanina. Rozlega się pięć do ośmiu wystrzałów działowych i kilkanaście serii z karabinów maszynowych.

STANISŁAW

— Rozbiłem sześć wozów z piechotą — melduje Celina. — Dwa wozy uciekły, reszta pali się przede mną. Nie mogę się wskutek tego posuwać na przód. Piechota wybita.

Polecam Uścińskiemu usunąć w miarę możliwości palące się wozy i meldować dalszy rozwój sytuacji. Tymczasem we wsi zaczyna się straszliwy bałagan. Z chat w koszulach i w kałesonach wyskakują Niemcy i ukrywają się po sadach. Nasza piechota schodzi z czołgów i goni ich. Strzelcy wchodzą do chałup, wyciągają z nich pozostałych Niemców, sprzęt i różne rupiecie.

Od czasu do czasu rozlegają się pojedyncze strzały, ale właściwie nikt się nie broni. Piechota również nie kwapi się strzelać do uciekających. Z czołgów również nie można strzelać, że-

by nie porazić własnych ludzi. Mamy więc niezorganizowaną zabawę w łapankę. Piechota ma z tego niesłychaną uciechę, zabawa idzie na całą parę. Przyglądam się temu widowisku; chcę jak najprędzej wyjść z wsi na właściwą drogę.

Kiedy jednak spostrzegam, że strzelcy zamiast wyłapywać Niemców zaczynają płądować ich bagaże, nakazuję ppłk. Nowaczyńskiemu zorganizowanie systematycznego oczyszczenia wioski, polecam brać jeńców i wartościowy sprzęt. Jest to konieczne, zwłaszcza, że pierwszy szwadron melduje, iż nie może usunąć palących się wozów i postój we wsi przeciągnie się zapewne dość długo, ponieważ obejścia terenu nie da się dokonać.

Plutonowi rozpoznawczemu każę zejść z czołgów, zebrać jeńców i zbadać co to za oddział, który zaskoczyliśmy. Przynoszą mi wkrótce dwa mundury generalskie, dokumenty i kupę franków francuskich.

Z pobieżnego przejrzenia papierów orientuję się, że zaskoczyliśmy dowództwo Drugiego Korpusu S.S. i sztab dywizji pancernej. Na nie szczęście wszyscy oficerowie zdążyli uciec.

Polecam Januszowi B. zameldować o sytuacji do Brygady i kłnę piechotę, że zabawiając się rabunkiem, pozwoliła się wymknąć generałowi niemieckiemu. Niesłusznie zresztą kłnę, gdyż piechota wzięła przecież około 150 jeńców. Panuje ogólna radość i wesołość, jakbyśmy naprawdę odnieśli wielkie zwycięstwo.

Ja jednak daleki jestem od wesołości. Sytuacja wydaje mi się więcej, niż poważna.

Z resztką benzyny i niepełną amunicją znajdujemy

KOSZUTSKI

się wewnątrz ugrupowania niemieckiego. Zaskoczenie jeszcze trwa, ale za chwilę musi się ono skończyć i czeka nas ciężka walka w odosobnieniu. Jakże mamy szanse dojścia do Chambois?

A jednak wtargnięcie nasze na tyły powinno spowodować olbrzymią konsternację wśród Niemców. Znajdowanie się dużego oddziału pancernego na dalekim zapleczu nieprzyjaciela może nawet spowodować załamanie się frontu niemieckiego pod Trun. W każdym razie nasza interwencja w tym miejscu pozwoli napewno innym oddziałom na połączenie się z Amerykanami pod Chambois.

Żle, że pobłądziliśmy i wpakowaliśmy się w groźną sytuację ale w końcu trzeba to "najgorsze" wykorzystać jak najlepiej. Nie mogąc sa-

EPIZOD Z BITWY O FALAISE

Macie natychmiast zapalić światła!

Wykonują polecenie. Przyspieszam marsz.

Po piętnastu — dwudziestu minutach czoło kolumny zatrzymuje się. Podjeżdża do mnie dowódca pierwszego szwadronu i melduje:

— Czoło weszło w niewielkie zabudowania. Kwaterują tam Niemcy i droga rozwidla się pod małym kątem w prawo. Przewodnik uciekł i ppor. Przyborski rozpoznaje drogę pełzając. Nie może się jednak zorientować, która droga jest właściwa. Co mam robić?

Przeglądam mapę i nie znajduję żadnego rozwidlenia w okolicy, w której powinniśmy się znajdować obecnie. Droga, obrana przeze mnie z mapy, tu jednak powinna się zacząć jako brukowana.

Powiadam więc do kapitana Uścińskiego:

— Wybierz drogę główniejszą — powinna być brukowana — względnie powinien to być niezły trakt gruntowy.

Uściński odjeżdża i po chwili kolumna rusza.

Mijamy zabudowania. W niektórych oknach zapalają się światła. W ogrodach i podwórzach — tabory wojskowe. Przejeżdżamy koło dwóch, czy trzech wartowników. Przyglądają się nam, ale żaden nie alarmuje.

Co do diabła? Czy mi się śni? Chociaż nie powinienem się właściwie dziwić.

15-18 km na godzinę. Mija tak około czterdziestu minut. Powinniśmy się już teraz znajdować na innej szosie lub w pobliżu niej. Należało by tu skręcić na prawo, a potem na lewo w pierwszy trakt polny, który ma nas wyprowadzić wprost do Chambois.

Zamiast oczekiwanej szosy czernieje przed nami wioska w sadach. Dojeżdża tam czołowy szwadron, a za nim mój poczet.

Dokoła samochody ciężarowe, działa i sprzęt, zaparkowane między drzewami i po zagrodach. Tabliczki wskazujące dowództwa. Znajdujemy się w samym centrum olbrzymiego ugrupowania postojowego Niemców.

Pierwszy szwadron zatrzymuje się.

Niedaleko z prawej strony słyszę turkot gąsienic czołgów. Po turkocie wydaje się, że to Crusadery 10 P.S.K. Ale nie, dźwięk cokolwiek inny. Wsluchujemy się wszyscy. Tak, to nie nasze, to Tygrysy niemieckie, idące równoległe do nas, ale w przeciwnym kierunku, w stronę frontu. Przesuwają się w odległości 500 metrów. Liczę. Jest ich razem 12 do 13 wozów. W naszej kolumnie cisza, słyszę bicie własnego serca. Na horyzoncie przed nami zaczyna się rozwidniać. Przed nami, więc pobłądziliśmy.

Jakiś chłop wychodzi z chałupy. Wołam go i pytam jak się nazywa ta wieś. Od-

memu spełnić zadania moge jednak wykonać je pośrednio tj. ułatwiając innym ich zadanie.

Rozumiem dobrze co i jak mam zrobić. Muszę sięgnąć na siebie "gniew teutoński". W tym celu powinienem stanąć w miejscu czułym dla nieprzyjaciela i przeciąć jego komunikacje. Niech się wtedy dobierają do mnie. Szkoda tylko, że z braku paliwa nie mogę być bardziej czynny, atakując artylerię i urządzenia tyłowe Niemców. Wybieram miejsce, gdzie się zatrzymam — 8 do 10 km na zachód od Champaux. Krzyżuje się tam kilka dróg. Będzie to moja "forteca" do walki z odwodami niemieckimi.

Polecam Januszowi, żeby zameldował nasze położenie w Brygadzie. Tymczasem pragnę się jak najprędzej wydostać z tej przeklętej wsi.

Robi się gorąco. Stoimy już ponad pół godziny i nie możemy ruszyć z miejsca. Przed nami droga zablokowana palącymi się ciężarówkami, a obejść terenu nie można z powodu zabudowań, jarów i gęstych sadów. Sama szosa biegnie w dość głębokim wąwozie. W sumie jest to pułapka dla czołgów.

Niemcy po początkowym szoku przychodzą najwidoczniej do siebie. Luźne ich grupy zaczynają nas atakować z lewej strony, gdzie z powodu wysokiego nasypu czołgi nie mają obstrzału. Piechota odpiera te wypady, jednak niektóre grupy podchodzą na odległość 40-50 metrów i rzucają w nas granatami ręcznymi. Szczęśliwie żaden nie wpada do czołgu. Niemcy ranią przeważnie naszych jeńców, zgrupowanych koło kolumny. Czas leci, dochodzi godzina piąta rano.

Ponaglami nieustannie pierwszy szwadron, żądając, aby posuwał się naprzód, ale długo bezskutecznie. Jedziemy najwyżej 250 metrów i znów się zatrzymujemy. Kpt. Uściński melduje, że usuwa jak może dopalające się ciężarówki ale praca jest wolna i trudna. Ponadto Niemcy ustawili u wylotu wsi dwa działa przeciwpancerne, któ-

rych szwadron zwalczać nie może będąc w kolumnie. Znajduje się pod obstrzałem z przodu i z lewej strony. Postanawiam użyć drugiego szwadron, gdyż ten ma nieco miejsca, aby zejść z drogi.

Wydaje rozkaz:

— Ludwik, rozwinąć się w prawo na wysokość Celiny, zniszczyć działa u wylotu wsi. Koniec.

Ludwik (2-gi szwadron) wyciąga z kolumny i rozwija się dwoma plutonami w pierwszej linii. Ma mało miejsca więc czołgi posuwają się w odstępach zaledwie 15 metrów jeden od drugiego. Zaledwie wozy wyszły na wysokość mojego stanowiska, gdy z sadów, spoza skarpy wysunęło się w tyralierze około kompanii Niemców. Biegnać strzelają ze szmajsów i rzucają granaty. Drugi szwadron, wychodząc zza drzew, wjeżdża w tyralierę niemiecką i otwiera ogień z sześciu dział i osiemnastu karabinów maszynowych.

Miedzy Niemcami powstaje straszliwy zamęt. Niektórzy poddają się, rzucają broń i podnoszą ręce do góry, inni rzucają się na ziemię, pozostali salwują się ucieczką.

Lawina żelaza drugiego szwadronu masakruje ich. Kompania zostaje dosłownie zmieciona z powierzchni ziemi. W dziesięć sekund rzeź jest skończona. Na murawie wije się w agonii kilkanaście postaci, kilkadziesiąt trupów zaściela ziemię.

Posyłam patrol sanitarny, żeby zebrał i opatrzył rannych.

Właśnie wschodzi słońce. Ogromna czerwona kula wytacza się zza horyzontu na wprost mnie.

— Co jeszcze przyniesie dzień dzisiejszy — myślę.

Drugi szwadron nie może wysunąć się bardziej do przodu z powodu urwiska, nie może więc zwalczyć dział przeciwpancernych. Postanawiam użyć do tego batalion strzelców.

Ppłk N. wydaje zarządzenia, ale zebranie piechoty jest trudne. To nie czołgi, gdzie załogi reagują natychmiast na rozkaz radiowy.

Elektryczne instalacje przemysłowe

niskiego i wysokiego napięcia

ELOBRA

OBRAS ELÉTRICAS LTDA.

Brig. Tobias 356 — 10.º Conj. 103 — Tel.: 34-0806

SAO PAULO

Trzeba tu rozesłać gońców i dowódcy plutonów i drużyn muszą osobiście zgromadzić ludzi. Zajmuje to oczywiście dużo czasu. Czas jest teraz ogromnie drogi, ale nic na to nie można poradzić.

Gdy batalion zaczyna się wreszcie zbierać słyszę z prawej strony warkot samolotów.

Leci klucz złożony z piętnastu aparatów. W lornetce widać wyraźnie sylwetki amerykańskich Thunderboltów. Nad wsią przechodzą w formację jak do ataku. O, niedobrze. Załogi czołgów wykładają żółte płachty i zapalają świece dymne. Co to jednak? Thunderbolty zataczają nad nami koło i schodzą po jednym do bombardowania. Zjeżdża pierwszy na kolumnę.

Świst olinowania samolotu i dwie stukilowe bomby walą się na stłoczoną jak śledzie w beczce kolumnę ludzi i wozów.

Jeden po drugim, jeden po drugim odrywa się od klucza samolot i schodzi w dół. Nowy świst olinowania, nowy gwizd bomb i nowe dwa wybuchy. Lecą w górę kamienie, ziemia i odłamki. Wylatują w powietrze drzewa, darnina, dachy budynków. A my czekamy, aż któraś bomba rąbnie w nas.

Nie pomagają rozpaczliwie wykładane płachty i świece, od których ludzie mają już poparzone ręce. Nie wiadomo, czy zamykać klapy wież, czy też zostawiać je otwarte. Jeżeli bowiem bomba spadnie na czołg to przy zamkniętej wieży załoga nie zdąży już wyskoczyć. Czekają śmierć w płomieniach. Z drugiej strony — do otwartej wieży wlatują odłamki i kamienie. Dowódcy czołgów otwierają więc wieże, gdy samolot schodzi do zrzutu, a zamykają, gdy bomba wybuchą obok. Jest to, oczywiście, za późno, ale sprawia wrażenie, że coś robią. Najgorsza w niebezpieczeństwie bywa bowiem bezczynność — matka strachu i paniki.

Niektóre załogi, nie zwa-

żając na nic, zaczynają strzelać do Amerykanów z przeciwlotniczych karabinów maszynowych. Pociski świetlne pędzą strumieniem do góry. Niewiele to pomaga, ale można przynajmniej wyładować w ten sposób wściekłość.

Dostaję w plecy kawałem darni i przewracam się do wieży. W furii sam zaczynam strzelać.

Podchorąży Press zostaje ugodzony cęgą w głowę, ginie podchorąży Jewłow. Piechota, która tak długo nie mogła się zebrać, zbiega się teraz samorzutnie do czołgów. Licho zresztą wie dlaczego, gdyż czołgi są głównym celem bombardowania i tu jest najgoręcej, ale nie-szczęśliwi piechociarze sądzą zapewne, że pancerze lepiej ich ochronią, niż drzewa i domy.

Podbiegają również do kolumny Niemcy, którzy nas atakowali. I oni szukają tu schronienia. Całe to towarzystwo: Niemcy i strzelcy 8-go batalionu — pakuje się wspólnie pod czołgi, razem zbierają rany i razem giną. A straty są bardzo duże.

Ci, którzy są już na czołgach, starają się chować jeden pod drugim. Widzę jak jakiś Niemiec trzyma w objęciach naszego kaprala, pchając mu głowę pod pachę i obejmując miłośnie za szyję. Nie ma teraz nieprzyjaciół! Nieprzyjacielem są jedynie lecące bomby.

Wydaje mi się, że świat się kończy i że ten piękny pułk za chwilę przestanie istnieć rozbity w drzagi przez Amerykanów.

— Wybiją nas — myślę i czekam, kiedy wreszcie pierwsza bomba rąbnie bezpośrednio w czołg. — Będzie to początek końca. Za tym czołgiem pójda inne. Musi to przecież nastąpić, muszą przecież rozbić tych 80 różnych pojazdów, stłoczonych na wąskiej drodze, w wąwozie, bez możliwości rozproszenia się, ani ukrycia.

Co pięć-sześć sekund wybuchają bomby to z prawej,

BELMONTE

apresenta a Você suas novidades

GOLDEN TAN (fórmula original) loção para bronzear sem sol.

CARDEP maravilhoso depilatório a frio

SPUM banho espumante, perfumado e tonificado

Embalagens especiais para profissionais com preço reduzido.

Rua Santa Izabel, 46

PARIS — SÃO PAULO

BELMONTE - IND. E COM. COSMÉTICOS LTDA.

Indústria Brasileira

to z lewej strony — w odległości 10 do 20 metrów od kolumny. Od huku pękają bębniaki w uszach. Śmierdzi materiałem wybuchowym i wokół wznosi się gęsta zawiesina dymu i kurzu.

Lecą w powietrze drzewa, darnina, kamienie, dachy i kilka domów się pali. Jest strasznie gorąco i duszno, a amerykańscy "przyjaciele" łupią w nas i łupią dumni zapewne z przylapania "enemy column" w marszu i zniszczenia jej. Już słyszę ich meldunek: "How wonderful!"

Ktoś się jednak opiekował nami silniejszy, niż amerykańskie Thunderbolty. Ani jeden czołg nie został trafiony bezpośrednio, ani jeden wóz rozbity. Jak się to mogło stać? Nie wiem.

Klucz skończył bombardowanie. Na horyzoncie ukazują się następny, składający się tak samo z piętnastu samolotów.

Proceder rozpoczyna się identycznie jak poprzedni. Zataczają nad nami koła i jeden po drugim schodzą do bombardowania i grzeją, aż dech zapiera.

Mam tego naprawdę dość. Myślę, że życie lotnika amerykańskiego nie jest warte więcej, niż żołnierza polskiego, a Sherman nie gorszy od Thunderbolta i wściekły każe wszystkim czołgom linowym i przeciwlotniczym otworzyć ogień do Amerykanów. Za chwilę stożek pocisków świetlnych obramowuje schodzący w dół samolot, który prawie momentalnie ostrym zrywem wyciąga do góry. Następny zrzuca bomby już z przyzwyczajonej odległości.

Nie wiem, czy dokonał tego nasz ogień, czy też przyczyną była trudność umiejscowienia nas w dymie i kurzu, dość, że drugi klucz rozsiała bomby bardziej po biednych Bretończykach, niż po naszej kolumnie. Porządną porcję otrzymali również atakujący nas Niemcy. Postrawiam wykorzystać ten moment i jednocześnie z końcem bombardowania uderzyć na oszołomione załogi niemieckich dział przeciwpancernych.

Wydaję rozkaz. W czasie, gdy trzynasty, czy też cztertnasty samolot zrzuca bomby z zakretem drogi wysuwa się ppor. Przyborowski i dwoma celnymi strzałami rozbija dział stojące na szosie, następnie zaś rusza naprzód na pełnym gazie, a za nim reszta szwadronu.

Polecam następnym szwadronom:

— Kierunek za Celiną, pełny gaz, naprzód!

Piechota wskakuje na czołgi, ciągnąc rannych i jeńców. Ruszamy.

Jak olbrzymi pocisk wysuwamy się z gardzieli wsi i

po chwili wjeżdżamy z drogi polnej na szosę.

Na skrzyżowaniu mijamy rozbite działo i palący się jaszcz, po czym skręcamy na prawo. Gnamy jak szatany.

Na szosie pali się ciężarówka niemiecka z amunicją. Szmeller robi gwałtowny skręt czołgiem, chowamy się z Jerzym do środka i natychmiast prawie mam wrażenie, że lecimy z ogromną szybkością w przepaść. Trwa to zaledwie kilka sekund, w czasie których wydaje mi się, że to już koniec z nami. Wyglądam wreszcie z wieży i widzę, że jedziemy normalnie po szosie i że nic się nie stało. Okazało się, że lufa działa uderzyła w drzewo i niezablokowana wieża wprawiona została w ruch obrotowy, co sprawiło wrażenie spadania czołgu w otchłań. Przeżyliśmy chwilę potężnego strachu.

Znajdujemy się mniej więcej o 8 km od wsi, gdy szwadrony zaczynają meldować, że w niektórych czołgach kończy się benzyna. Każę te wozy holować innym i szukam miejsca na postój.

Znajdujemy się w okolicy, którą wybrałem uprzednio w tym celu z mapy. Zatrzymujemy się w kotlinie, okolonej od zachodu i południa wzniesieniem, a od wschodu gęstym zadrzewieniem. Od północy teren jest odkryty.

Dwa szwadrony lokują na wzniesieniach, a trzeci wzdłuż szosy, wszystkie lufami na zewnątrz ugrupowania. Tworzymy w ten sposób rodzaj twierdzy, zdolni do walki na trzy strony świata. W centrum umieszczam batalion strzelców, swoje dowództwo i jeńców, których mamy około 150.

Dochodzi godzina dziewiąta rano. A więc w Champs "zmarnowaliśmy" prawie cztery godziny.

Rannych (łącznie z Niemcami jest ich około czterdziestu) kładziemy na ziemi. Powoli robi się upał; tysiące much obsiada rannych, którzy nie mogą ich odpędzić. Brak również wody, biedacy cierpią okropnie. Lekarz pułkowy z sanitariuszami są umazani krwią jak rzeźnicy, pot leje się z nich strumieniami. W opatrywaniu rannych pomaga im jeńiec, oficer-lekarz niemiecki, i kilku jego sanitariuszy.

Niemiec ten jest wspaniały. Pracuje z poświęceniem, z własnej koszuli drze bandaże. Podchodzi do niego i dziękuję za pomoc. Odpowiada, że raczej on chce podziękować za nasze traktowanie rannych i jeńców i za to, że wolno mu być użytecznym. Hm, typ ten zlekka mnie wzruszył. Nie często się spotyka podobną wymianę średniowiecznych komplementów.

Załogi pancerne próbują

kolejno odpoczywać. Nie wiele jednak tego odpoczynku, gdyż z powodu ruchu na szosie mamy stale alarmy.

Najpierw zjawia się idący na front oddział piechoty. Oddział ten po ostrzeleniu zatrzymał się i rozproszył w terenie. Jakaś niewielka kolumna samochodów wjechała prawie w nasze ugrupowanie. Kierowcy na widok czołgów uciekli, pozostawiając cztery ciężarówki ze sprzętem.

Schwytaliśmy również kilku gońców na motocyklach. Byli niesamowicie przerażeni i zdumieni skąd wzięliśmy się na ich "bezpiecznych" tyłach.

Ale ukazują się wreszcie czołgi.

Obecność ich zwiastuje, jak zwykle, nasz czołg rozbity lub palący się. Spada to jak grom z jasnego nieba. Niemcy stosują bowiem starą, wytrawną taktykę. Czołgi ich spostrzegamy w dużej odległości i tylko na parę sekund. Oddają jeden lub dwa strzały i znikają.

Tym razem trafiony został czołg sierżanta Prawożnego. On sam jest ranny, a dwóch ludzi z załogi zabitych.

Tygrysom nie możemy nic prawie zrobić, gdyż działają poza zasięgiem naszych dział, a nie możemy manewrować z powodu braku benzyny. Każę więc jedynie szwadronom ukryć się starannie i obserwować. Mimo to w kilka minut po rozbiciu pierwszego dostaje drugi czołg. Dzielny ppor. Przyborowski zostaje zabity, a jeden czołg wiek ranny. Trzeci szwadron tym razem zauważył jednak Niemców na czas i ostrzelał ich granatami.

Niemcy wycofali się i na tym się skończyło. Nie podejmują przewidywanego przeze mnie energicznego ataku, żeby wyrzucić nas ze swoich tyłów.

Nawet zupełnie odwrotnie. Omijają nas najwidoczniej bokami. Po początkowym ostrzeleniu małych oddziałów szosa opustoszała. Ustał nawet ruch gońców. Mamy przeto chwilowy spokój.

Wysłane rozeznanie stwierdziło, że Niemcy wykonują dziwaczne ruchy pomiędzy nami, a linią frontu.

Kolumny idące z frontu i do frontu zatrzymują się o pięć-sześć km od nas i albo zawracają albo zjeżdżają na boczne drogi. Obserwuje się dość duże zatory i ogólnie wrażenie bałaganu. Zaczynają widocznie odczuwać naszą obecność.

Jaka szkoda, że z braku paliwa jesteśmy unieruchomieni. Można by im teraz narobić dobrego bigosu, atakując artylerię i urządzenia tyłowe. Szkoda również, że Thunderbolty nie zaoszczędziły bomb na ten moment, zamiast zmarnować je na nas.

Raz jeszcze atakują nas tygrysy. Około południa zjawia się ich osiem na horyzoncie, próbują podchodzić. Wywołuje się obustronna strzelanina, w wyniku której trzeci szwadron uszkodził dwa czołgi niemieckie, a oni rozbili nam jednego szermana. Zginął kapral z trzeciego szwadronu. Nie można go było wyciągnąć z płonącego czołgu i spalił się żywcem na oczach całego zgrupowania. Ranny został również plutonowy Kos. Niemcy nie ponowili więcej natarcia.

ÚNICA ORIGINAL... AUTÊNTICA...

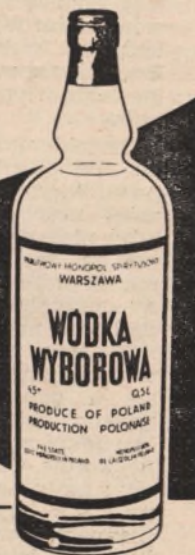
WÓDKA WYBOROWA

Importada directamente
da Polónia

Experimente os deliciosos "cordials" e licores poloneses.

V. encontra nas boas lojas do ramo, todas as frutas polonesas em geleias e compostas de requintado sabor.

— Incomparável
para
o preparo
dos
coquetéis



Exportadora Rolimpex - Varsóvia - Polónia

Representante em São Paulo: IKA LTDA. Rua 7 de Abril, 342 - Fone: 34-7730

Około dwunastej otrzymałem wiadomość, że po południu dostaniemy uzupełnienie amunicji i benzyny i że 1-szy pułk pancerny udaje się na wzgórze 240 w naszym kierunku.

Postanowiłem pojechać do tego oddziału, nawiązać z nim styczność i przy okazji dokonać rozpoznania.

Wziąłem dwa Sturty (małe czołgi rozpoznawcze pułku pancernego) i bez trudu spotkałem 1-szy pancerny. Mjr. Stefanowicz poinformował mnie, że otrzymał rozkaz udania się ze wzgórza 240 na wzgórze Gudehard i że 10 p.s.k. łącznie z 10 pułkiem dragonów idą na wykonanie mojego wczorajszego zadania tj. mają osiągnąć Chambois. Gdy się to stanie i gdy zajęte będzie wzgórze Gudehard Niemcy zamkną się w worku. Mjr. Stefanowicz dodał jeszcze, że wśród Niemców panuje duże zamieszanie i że oddziały nasze posuwają się bez poważniejszego oporu. A więc spełniliśmy swoje zadanie. Nocne działanie mojego zgrupowania pozwoliło innym osiągnąć zasadniczy cel.

Gdyby nie zamieszanie spowodowane naszym pojawieniem się na tyłach niemieckich 10 p.s.k. nieprędko mógłby się połączyć z Amerykanami i kosztowałoby to z pewnością wiele krwi i czasu.

Zadowolony z wiadomości uzyskanych od Stefanowicza pozostawiłem mu jednego Sturta dla utrzymania łączności i powróciłem do pułku.

W drodze powrotnej wydarzył mi się komiczny przypadek, który ukoronował i zakończył przygody owego dnia i tak już pełnego wrażeń.

Zjeżdżamy właśnie ze wzgórza 240 na szosę, na której o dwa kilometry na zachód pozostawiłem swoje zgrupowanie, gdy napotkaliśmy opuszczony niemiecki wóz ciężarowy naładowany bankami z benzyną. Plut. Brzyski zaproponował, żeby go zabrać i przyciągnąć do pułku.

Brzyski wyskoczył z czołgu. Po chwili wrócił i poprosił kierowcę o noż. Nie mógł uruchomić ciężarówki, gdyż nie znalazł w niej klucza od zapłonu. Po otrzymaniu noża wszedł do kabiny opuszczonego wozu i zaczął tam manipulować.

W tym momencie, stojąc w wieży, zauważyłem na szosie w odległości około 200 metrów jadącą w naszym kierunku od zachodu kolumnę wozów. Czołowy wóz skręcił z szosy na drogę, na której staliśmy. Zobaczyłem niemiecki łazik, wypełniony ludźmi i bagażem.

Chwyciłem przeciwnożniczy karabin maszynowy i nacisnąłem spust. Trr...

rozległy się dwa strzały i karabin się zaciął. Łazik zatrzymał się jednak i wysypało się z niego czterech Niemców. Podnieśli natychmiast ręce do góry. Brzyski wyskoczył z ciężarówki i rozbroił ich momentalnie.

Tymczasem, mocując się z karabinem maszynowym, usuwałem zacięcie. Zaledwie zdołałem wsadzić nowy pocisk do lufy zza zakrętu wyjechał drugi łazik. Strzelam do niego i znowu zacina mi się karabin. Trafiłem jednak w oponę.

Łazik skręca gwałtownie i wywraca się do rowu. Wysypuje się z niego nowa porcja Niemców. Pięć sztuk tym razem. Ale wyłania się trzeci samochód, a za nim jakieś działa na ciągnikach. Kolumna długa chyba na dwa kilometry.

Męcę się z przeklętym karabinem i nie czuję się wcale bohaterem tylko już raczej sienkiewiczowskim Zagłobą, zdobywającym sztandar.

— Cholera, — myślę — jak na trzech ludzi to chyba dość. Nie mam zamiaru robić z siebie bohatera filmowego, ani starać się o Victoria Cross.

Usuwałem drugie zacięcie i oddaję dwa, trzy strzały, króciutką serię, do nadjeżdżającego trzeciego łazika. Przeklęty karabin znów się zacina. Niemcy zdołali jednak zauważyć co się stało z ich poprzednikami i zawrócili. Kolumna artyleryjska zatrzymała się również i manewrując pojedynczo wozami wycofała się wkrótce w kierunku, z którego nadjechała.

Trwało to wszystko niezmiernie krótko.

Widząc zawracającą kolumnę kazałem kierowcy przebieść się do wieży i oddać do uciekających Niemców kilka strzałów z działka. Sam zaś wyskoczyłem z czołgu i podbiegłem do Brzyskiego pomóc mu w rozbieraniu Niemców.

Po odebraniu broni i dokumentów przystąpiłem do doraźnego przesłuchania. Byli ogromnie przestraszeni i zdziwieni. Nie pozwalając ochłonąć im z wrażenia zapytałem kim są i do jakiego oddziału należą. Jeden z oficerów znał angielski. Powiedział, że stanowią dowództwo pułku ciężkich moździerzy. Poza pułkownikiem, dowódcą pułku, wzięliśmy do niewoli: adiutanta, oficera informacyjnego i oficera wywiadowczego. Jechali na czele kolumny spod Falaise do Champaux, gdzie mieli oczekiwać dalszych rozkazów. Nikt ich nie ostrzegł o obecności nieprzyjaciela na tyłach. Zostali całkowicie zaskoczeni; wszystkiego mogli się spodziewać ale nie tego.

Najbardziej przybity był pułkownik. Pocieszył się tro-

chę, gdy Brzyski wyjaśnił, że jestem również oberstem. Miał tę przynajmniej satysfakcję, że schwytał go nie byle kto, tylko sam nieprzyjacielski oberst. Niech mu będzie na zdrowie! Ja też miałem satysfakcję większą zapewne, niż on.

Załadowaliśmy Niemców na ich własne samochody i zawieźliśmy do miejsca postoju zgrupowania. O mało nie oszaleli z wściekłości, kiedy dowiedzieli się, że jesteśmy Polakami. Zupełnie ich to dobiło. Zrobili się od razu hardzi i odmówili dalszych zeznań. Po lekkiej "namowie" zeznawali jednak, bez wielkiego co prawda entuzjazmu.

Wkrótce po południu otrzymałem rozkaz udania się w ślad za 1-szym p.s.k. do Cudehard. Wykonaliśmy to bez przeszkód przed wieczorem, i tu rozegrał się ostatni akt dramatu bitwy normandzkiej. Armia niemiecka uległa zniszczeniu w trzdniowej zaciętej i krwawej bitwie, próbując się wydostać bezskutecznie z potrzasku, w którym zamknęliśmy ją wspólnie z Amerykanami.

Okrażeni pod Falaise przez Polaków i Amerykanów Niemcy stracili w zabitych i rannych około 240 tysięcy żołnierzy, 210 tys. jeńców, 1.500 czołgów, 3.500 dział i wszystkie pojazdy motorowe.

1 Polska Dywizja Pancerna walczyła w ostatniej trzdniowej fazie bitwy przeciwko trzem wyborowym niemieckim jednostkom pancernym: 1 SS Adolf Hitler, 12 SS Hitlerjugend i 12 Dywizji Pancernej. Dywizje te zniszczyliśmy całkowicie, biorąc przy tym do niewoli: jednego generała, 150 oficerów i 5.260 szeregowych. Rozbiliśmy 70 czołgów nieprzyjacielskich (tygrysów i panter), 112 dział i kilkadziesiąt innych pojazdów mechanicznych. Na przedpolu Chambois i wzgórza Cudehard (Maczuga) pogrzebanych zostało około 7.200 Niemców, poległych od pocisków polskich dział, broni maszynowej i ręcznej.

Zwycięstwo nie zostało jednak łatwo osiągnięte. Stan liczebny dywizji przed bitwą wynosił około 11.500 oficerów i szeregowych, 208 czołgów walki i 72 różnych dział pozaczołgowych. W czasie bitwy normandzkiej dywizja straciła 350 oficerów i 2.190 szeregowych w zabitych i rannych oraz około stu czołgów.

Ale droga do Renu została otwarta. W dziesięć dni po bitwie pół Europy było uwalnione.

* * *

— Człowiek jest wszystkim, ludzie są niczym — powiedział Napoleon. To wielka prawda. Nie masa, nie tłum, nie zbiorowisko dokonuje rzeczy wielkich — wszystko zależy od jednostki. Zdolności, inteligencja, energia i wola pojedynczego człowieka kształtują wynik każdego przedsięwzięcia, niezależnie od tego ile osób bierze w nim udział. Człowiek jest wszystkim. Ale o tym co człowiek może dokonać decyduje w dużej mierze los, przeznaczenie, które właściwie w przedziwny sposób wytycza jego działalność.

Krok w prawo, zamiast w lewo, przypadkowe spotkanie na ulicy, nieprzespana noc lub ból brzucha i życie ludzkie toczy się inaczej, niż chcielibyśmy.

Tak więc, gdyby 2-gi pułk pancerny i 8 batalion strzelców nie pomyliły drogi w nocy z dnia 17-go na 18-ty, to jak wykazały późniejsze wypadki, z obydwu oddziałów nikt by nie ocalał. Jeżeli dotarlibyśmy do Chambois z ilością amunicji i benzyny, którą dysponowaliśmy, nie uszlibyśmy zapewne z życiem. Jakies rozwidlenie szos LOS postawił na naszej drodze, pchnął nas w lewo zamiast w prawo i zmieniło się przeznaczenie tysiąca pięciuset ludzi. A przecież zdawało się, że zrobiło się wszystko, aby pójść tam gdzie czekała nas niechybna śmierć.

Stanisław Koszutski

Embeleze seu lar

E VALORIZE SEU TV TORNANDO-O
MODERNO, FUNCIONAL E AGRADÁVEL

Mesas ELEM para TV

PROCURE NAS LOJAS ESPECIALIZADAS

STRONICA PARAŃSKA

Z DZIAŁALNOŚCI Twa im. T. KOŚCIUSZKI K KURYTYBIE

Towarzystwo Tadeusza Kościuszki w Kurytybie, najstarsza organizacja społeczna Polonii tutejszej, może się poszczycić — jak na miejscowe stosunki — dużym osiągnięciem na polu popularyzowania kultury polskiej wśród miejscowego społeczeństwa. Po urzędzeniu uroczystego obchodu 70-lecia swego istnienia, zrealizowała ta organizacja piękny wieczór poświęcony życiu i twórczości znakomitej poetki polskiej Marii Konopnickiej, a niedawno akademii ku czci wielkiego romantyka, jednego z trójcy wieszczów polskich — Juliusza Słowackiego. Akademia ta — równie jak i poprzednie — wypadła doskonale.

Każda taka impreza połączona jest z wyświetlaniem filmów polskich, które w miejscowym społeczeństwie cieszą się dużym powodzeniem. Dotychczas, Twa. T. Kościuszki uprzystępniało tutaj publiczności obejrzenie następujących filmów: "Sprawa Pilota Maresza", "Kapelusz Pana Anatola" i "Deszczowy Lipiec".

Dużą zasługę w ożywieniu działalności organizacji położyli starzy działacze, tacy jak pp. Fr. Lachowski, Mirosław Florecki, Jan Smoleński oraz niestrudzeni społecznicy: pp. E. Czerwonka, Z. Sielski, J. Schiffer oraz wielu innych.

Zarząd Towarzystwa, celem pobudzenia życia kulturalnego wśród miejscowej kolonii polskiej, będzie w dalszym ciągu urządzał imprezy, aby zapoznać społeczeństwo z życiem i działalnością wielkich Polaków oraz zdobyciami kultury polskiej.

Zarządowi Twa. T. Kościuszki należy gorąco przyklasnąć i zachęcić do dalszej działalności kulturalnej.

(jk)

IVAGONE

Jan Krawczyk, pisarz parański napisał książkę bezpretensjonalną z gatunku przygodowych, przeznaczoną dla młodzieży. Może ją jednak przeczytać z przyjemnością każdy, kto nie zalicza się już, niestety, do młodzieży.

Opowiada się w tej książce o Indianach, brazylijskiej puszczy i garimpejrach w sposób zaciekawiający, bez filozofowania. Autor, pisząc Ivagone (1), nie miał napewno ambicji stworzenia wiekopomnego dzieła, nie strzelał do grubego zwierzaka. I w tej płaszczyźnie należy rozpatrywać książkę, jako miłą lekturę do poduszki.

Razą w Ivagone liczne błędy stylistyczne, ale to już wina wydawnictwa, które te błędy przepuściło.

(1) Jan Krawczyk. Ivagone. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1960, str. 245.

ARAMIS

OSOBISTE

Dr. S. Felix Werpachowski, chirurg-dentysta, prosi nas o zaznaczenie, że przeniósł swoją klinikę odontologiczną przeznaczoną dla dorosłych i młodzieży, z ul. Dez. Westfalen 285 do Edifício Brasilino Moura przy ul. Cândido Lopes 205, 7 piętro, sala 77 w Kurytybie.

WŁADYSŁAW ROMANOWSKI

Władysław Romanowski urodził się w styczniu 1902 r. w kolonii Nr. 2 w gminie Marechal Mallet w domu kolonisty polskiego, Wincenego Romanowskiego. Naukę początkową pobierał w szkole polskiej, niedługo to jednak trwało. Jako najstarszy syn musiał pomagać ojcu w pracy na roli. Ziemia nie przynosiła wystarczającego dochodu na pokrycie utrzymania rodziny. W rezultacie szukał wraz z ojcem zarobku przy zbiorze herwa mate, niejedną noc spędzając w puszczy.



W dwunastym roku życia wymógł na rodzicach pozwolenie na wyuczenie się jakiegoś zawodu. W miasteczku Marechal Mallet rozpoczął terminowanie u krawca. Tam też jako samouk uczył się czytać i pisać po portugalsku. Krawiectwo nie przynosiło wielkich dochodów. Po kilku latach przenosi się więc Romanowski do São Mateus, potem do Palmeiry i wreszcie do Ponta Grossa.

W Ponta Grossa rozpoczęła się kariera literacka przyszłego pisarza. Pierwsze wiersze publikuje w "Diário dos Campos". Dla utrzymania się zmienia często zawody i miejsca zamieszkania.

W końcu zakłada firmę z przedstawicielstwami w Florianópolis. Jednocześnie współpracuje w szeregu dzienników. Ze stolicy Santa Catarina przenosi się do Porto Alegre, gdzie w r. 1943 publikuje pracę, która przyniosła mu sławę: "Ciume da Morte". W r. 1944 pisze i wydaje szereg książek dla dzieci. W r. 1945 otrzymuje nagrodę Brazylijskiej Akademii Literatury "Raul Pompeia". W r. 1947 wydaje "...E Os Trigaes Ondulavam", powieść opartą na życiu kolonistów polskich na południu Brazylii. Pomimo rosnącej sławy nie zaprzestaje pracy w handlu.

W r. 1951 zostaje mianowany sekretarzem Komisji Wykonawczej Obchodu Stulecia Prowincji Parany i pozostaje na tym stanowisku do r. 1953. W tymże roku publikuje jeszcze jedną pracę o znaczeniu międzynarodowym: "A Tara".

Władysław Romanowski cieszy się zasłużoną sławą w całej Brazylii. Dzięki niemu imię polskie zyskało w literaturze brazylijskiej należne miejsce.

(jk)

Massaranduba

Kraina była piekielnie dzika. Dokoła niedostępne góry, przepaściste jary i wąskie gardziele wąwozów pokryte gęstym, dziewiczym lasem. Puszcza szumiała ponuro, a ptactwo: papugi, tukany, arapongi, sabiá i bem-te-vi oraz gromady wyjących małp napępniały gąszcz niesamowitą wrzawą.

Tak wyglądała przed 73 laty okolica, w której znajduje się obecnie kolonia Treze de Maio. Pierwsi polscy koloniści, którzy przybyli w te strony, rozglądali się z lękiem po tej rozległej i nieprzychylniej krainie. Do serc zakradała się trwoga. Byli sami, zdani na własne siły, zaradczą i pomysłowość. Najbliższe osiedla ludzkie znajdowały się w odległości trzydziestu kilku kilometrów. Aby dotrzeć do nich trzeba było przedzierać się krętymi pikadami przez dziką płataninę zaroił rozległej selwy.

Wobec niemożności powrotu przybysze ujęli siekiery i zaczęli rąbać las. Twarda to była i znojna praca dla ludzi przyzwyczajonych do chodzenia za pługiem po równinach mazowieckich. Dali sobie jakoś radę. Między lasami, na zboczach gór pojawiły się pola uprawne, wyrosły drewniane domki, kryte dranicami. Rozkrzyczały się jasnowłose dzieci i w puszczy brazylijskiej zabrzmiała mowa polska.

Wzorem tej pierwszej kolonii powstały w trzy lata później Guarani-Mirim i następnie przyległe: Linha Telegrafica, Braço do Norte, Benjamin Constant i Guarani Mirim, wszystkie położone w okolicy noszącej ogólną nazwę Massaranduba. We wszystkich tych koloniach, jak również w innych, powstałych w wiele lat później, mieszkają rodziny polskie, których potomkowie nawet w czwartym pokoleniu posługują się językiem polskim.

Podczas akcji kolonizacyjnej najwięcej ucierpiały te rodziny polskie, które osiedliły się w dolinach, gdzie grasowała malaria. Zdziesiątkowani, pozostawiając proste drewniane krzyże na grobach najdroższych, uciekali w góry. I tam trwają dotychczas, chociaż bieda ich cokolwiek przyciska, a malaria dawno już się wyniosła z wilgotnych dolin. Obecnie na terenach nizinnych Niemcy i Włosi uprawiają wielkie plantacje ryżu, a Polacy w swych górach sadzą kukurydzę i trzcinę cukrową. Uprawa roli w tych okolicach odbywa się przeważnie prymitywnymi narzędziami, — motyką i radłem. Mechanizacja stosowana jest tylko na równinach. Dróg jest mało, a na tych, które są można z łatwością skrócić kark. Najlepszym środkiem lokomocji w tych warunkach była cierpliwy, niesłusznie pogardzany burro. Wchodzi on na najbardziej stromą ścieżkę i przesuwa się spokojnie nad krawędzią przepaści.

W Massarandubie mieszka sporo Polaków. Najwięcej w Guarani-Mirim, bo aż 120 rodzin, na Linha Telegrafica 40 rodzin, w Braço do Norte — 20, w Benjamin Constant — 60 i w Treze de Maio — 20. Ludzie ci są w pewnym stopniu jakby odcięci od świata. Najbliższe większe miasto, Joinville, znajduje się w odległości ok. 80 km.

(D. c. na str. 8)

STRONICA PARAŃSKA

(Dokończenie ze strony 7)

Niektórym polskim kolonistom powodzi się nieźle — mają traktory, samochody, mieszka w ładnych domach. Innym — nie szczególnie. Dawniej dużo tu działał dla podtrzymania polszczyzny nauczyciel Korc, dziś już starzec. W chwili obecnej pracuje w okolicy niezmordowany ksiądz Kuczerowski, salezjanin, który podtrzymuje u swych parafian zamiłowanie do mowy ojczystej i Kraju.

ZŁOT KOŁA PISARZY

Dnia 7 stycznia 1961 r. w sali Towarzystwa União e Paz w Kurytybie odbył się Złot Koła Pisarzy i Działaczy Polonijnych.

KONRAD JEZIOROWSKI

Jedną z pięknych postaci starego pokolenia jest niewątpliwie Konrad Stanisław Jeziorowski, dożywający dni swoich w Mallecie.

Były działacz pepesowski, nieodstępny współpracownik innego członka SDKPiL, dra. Szymona Kossobudzkiego, Romana Paula i innych zasłużonych działaczy polonijnych — jest Jeziorowski postacią niemal legendarną, znaną w najdalszych zakątkach Brazylii Południowej.

Konrad Jeziorowski urodził się w r. 1876 w Częstochowie i uczęszczał tam do gimnazjum. Wkrótce pozyskał sobie jednak miano "niesfornego" ucznia. Winę miał duży: w obłębie szkoły, a nawet w sali wykładowej rozmawiał z kolegami po polsku. To też wyleciał już z piątej klasy. Dokształcał się sam, ukradkiem pomagali mu koledzy i nauczyciele Polacy.

Wyrzucenie z uczelni pchnęło Jeziorowskiego w szeregi bojowe PPS. Partia powierza mu działalność w Zagłębiu Dąbrowskim. W r. 1900 wpada w ręce żandarmarii carskiej. Sąd wojenny skazuje młodego działacza na karę śmierci. W obronie ska-

zanego występuje wielu prawników polskich. Car zamienia karę śmierci na bezterminową katorgę.

Zakutego w kajdany wysłano do więzienia dla politycznych w Akatuj, w okręgu Nerczyńskim na Syberii. Po pięcioletniej katordze udało się Jeziorowskiemu zbiec przy pomocy rewolucjonistów rosyjskich z partii "Narodna Wola". Przedostaje się do kraju i bierze czynny udział w rewolucji 1905 roku. Znowu go ścigają, znowu musi uchodzić.

W r. 1908 łąduje w Brazylii i osiada w kolonii Afonso Pena pod Kurytybą. Obejmuje wkrótce posadę nauczyciela w kolonii Costeira, następnie w Ponta Grossa, Kurytybie i Araukarii.

Wszędzie gdzie przebywał budził świadomość narodową, organizował, współpracował przy budowie szkół i domów towarzystw kulturalnych, uczył dzieci, prowadził kursy dokształcające dla dorosłych, chóry i teatry amatorskie. W Araukarii, dzięki jego inicjatywie i przy pomocy Kazimierza Szymańskiego, żony sławnego okulisty dra Juliusza Szymańskiego, powstał piękny Dom Ludowy i szkoła.

W latach 1910-ych przyczynia się wraz z Romanem Paulem do powstania Kolegium im. M. Kopernika w Marechal Mallet. W latach późniejszych jest jednym z organizatorów Związku Demokratów Polskich, a następnie Związku Towarzystw Polskich "Kultura". Pracuje dla sprawy niepodległości dalekiej Polski. Bierze czynny udział w Związku Zawodowym Nauczycieli Polskich, później w Zrzeszeniu Nauczycielskim. Redaguje tygodnik "Świt", potem należy do komitetu redakcyjnego miesięcznika "Kultura".

Najwięcej interesuje go szkolnictwo. W latach 1930-ych jest przewodniczącym Wydziału Oświatowego Centralnego Związku Polaków w Brazylii z siedzibą w Kurytybie. Walczy o słowo polskie i książkę szkolną dla

młodzieży. Sam też pisze książki szkolne, które wydaje "Kultura". Jeździ osobiście w dalekie lasy jako doradca i instruktor oświatowy.

W Kolegium Maletzańskie włożył moc najlepszych sił i ofiarności. Cieszył się sukcesami młodej inteligencji polonijnej, która po ukończeniu tej uczelni odbywała dalsze studia w Kurytybie, aby zająć potem odpowiedzialne stanowiska w administracji i w życiu gospodarczym Parany.

Jeziorowski był również jednym z założycieli szpitala w Mallecie. Póki sił starczyło opiekował się nim gorąco.

W czasie ostatniej wojny wysłał syna swego, Stanisława, od armii gen. Władysława Sikorskiego w Wielkiej Brytanii, aby zadookumentować swój i swego potomstwa sentyment dla Macierzy.

W okresie międzywojennym odznaczony został przez rząd polski Krzyżem Niepodległości z Mieczami, Krzyżem Legionowym i Krzyżem Oficerskim Odrodzenia Polski.

Zasłużonemu działaczowi Polonia parańska życzy wielu lat życia i dalszej owocnej działalności.

Re-or

FUNDUSZ PRASOWY

Lista ofiarodawców

1. Kobyłański Tadeusz, Rio de J. — 200,00
2. Eichenwald Adam, S. Paulo 200,00
3. Neuding Stefan, S. Paulo 1.000,00
4. Zajackowski Andrzej, S. Paulo 1.500,00
5. Reisfeld Arnold, S. Paulo 2.000,00
6. Koch Adam, R. de Janeiro 500,00
7. Płonki Maksymilian, R. de Jan. 500,00
8. Sławiński Jan, R. de Jan. 500,00
9. Gryzełko Franciszek, R. de J. 1.000,00
10. Gieluda Salomon, R. de Jan. 200,00
11. Lewandowski Marian, S. Paulo 700,00
12. Czernorucki Borys, S. Paulo 200,00
13. Skorupski Roman, Erechim 1.000,00
14. Duntyuch Alfred, S. Paulo 500,00

10.000,00

W Brazylii o Polsce-w Polsce o Brazylii

WAJDA I POWOJENNY REALIZM POLSKI

Estado de S. Paulo w numerze z dn. 17 stycznia b.r. zamieszcza obszerną krytykę z wyświetlanego w kinie Jus-sara w São Paulo filmu Andrzeja Wajdy: "Kanał".

"Kanał" jest dziełem, które potwierdza niewątpliwą talent Wajdy. Charakterystyczna dla Wajdy jest umiejętność wytwarzania autentycznej atmosfery dramatycznej i zamiłowanie do wyrazu plastycznego. Jego ruchy kamery są zręczne, kompozycje scen bogate w plan i w blask dosadnych szczegółów. Nie zawsze jednak plastyka ta harmonizuje z intencją realistyczną narracji. Dziedzictwo ekspresjonistyczne Aleksandra Forda i twórców radzieckich z okresu kina niemego daje się wyraźnie wyczuć u Wajdy i w pewnym sensie usztucznia

jego relacje lub nakłania go do rysowania wątków drugoplanowych, odciągających widza od głównego tematu filmu.

Jest też w Wajdzie pewien romantyzm, uwydatniający się zwłaszcza w wypowiedziach bohaterów, zajętych zawsze bardziej zasadniczymi problemami miłości, przeznaczenia i śmierci, aniżeli praktycznymi wymaganiami akcji.

Fotografia Jerzego Wójcika zasługuje na najwyższe pochwały, a gra aktorów jest poprawna.

EKSPORT MATERIAŁU KOLEJOWEGO

Jornal de Comercio poświęca kilka pochlebnych uwag wzrostowi eksportu z Polski materiału kolejowego, zwłaszcza zaś parowozów i wagonów.

W ciągu pierwszego półrocza 1960 r. wartość eksportu parowozów i wagonów

osiągnęła 30 milionów dolarów. Najwięcej wyeksportowano wozów pasażerskich (368), poza tym wozy towarowe, wagony, chłodnie i parowozy (82).

ZAKOŃCZENIE UROCZYSTOŚCI ROKU SZOPENOWSKIEGO W RIO GRANDE DO SUL

W związku z zakończeniem uroczystości związanych z rokiem szopenowskim dyrektor Instytutu Sztuk Pięknych Uniwersytetu Federalnego Rio Grande do Sul, prof. Angelo Guido, zamieścił na łamach *Diário de Notícias* w Porto Alegre podziękowanie inż. Edmundowi Gardolińskiemu i jego Małżonce za pomoc okazaną przy realizacji imprez szopenowskich w Rio Grande do Sul.

Instytut Sztuk Pięknych i Polonia w Rio Grande do Sul mają zamiar ufundować w r. b. popiersie Fryderyka Chopina, ofiarując je miastu Porto Alegre.

W pracowni rzeźbiarki HALINY GŁOGOWSKIEJ

Winda zawozi mnie na dziewiąte piętro. W odpowiedzi na dzwonek otwierają się drzwi i — nagle robi się niebiesko.

Hasło, które ma ułatwić mi wywiad ze znaną rzeźbiarką brzmi, dość egzotycznie: Li Kioko.

— Już wiem, już wiem — uśmiecha się drobna, białowłosa pani w niebieskiej sukience. Odnoszę wrażenie, że sfrunęła dopiero z obrazu Picassa z jego "epoque bleue", i zastanawiam się, co w niej jest bardziej niebieskie: oczy, koraliaki na szyi czy — uśmiech. I już z góry wiem, że ze skrzętnie uplanowanego wywiadu — nici. Nie kwapię się więc z wyjęciem z torebki notesu z pytaniami. Zresztą, usadowiona wygodnie na kanapie, i tak mam zajęte ręce filiżanką "cafézinho" i kawałkiem smakowitego sernika.

Rozglądam się. Mieszkanie jasne, przestrzenne, produkcji impresjonistów, natomiast na podłodze, na półkach, stolikach, piedestałach pełno prac artystki: rzeźba i ceramika. Zgrabne głowy o ciekawych, łagodnych profilach, różnorodne maski o tajemniczym, niepokojącym wyrazie oczu i warg, barwne wazy, lampy, miski, talerze, dwojaki — przedmioty o rozległej skali użyteczności, jak i wartości dekoracyjnej, przeważnie ozdobione rysunkami o tematyce zaczerpniętej z bogatej skarbnicy folkloru polskiego i brazylijskiego.

W atmosferze, która tu panuje, czuję się przeniesiona wysoko ponad mechani-

czny rytm São Paulo i z łatwością odnajduję siostrzany język z uroczą panią domu.

Z tematu o naszej malej przyjaciółce, poetce "nisei", która wyswatała nas telefonicznie, przechodzimy na bardziej swojski i ani się spostrzegamy, że szubujemy nad Warszawą i Łodzią (pani Głogowska jest łodzianką), starając się wskrzesić dawne dzieje tych miast i wielu nieistniejących już znajomych. Dłuższą chwilę poświęcamy Januszowi Korczakowi, długoletniemu przyjacielowi państwa Głogowskich, którego w ostatnim numerze wspomniało nasze pismo, oraz Stefanowi Litauerowi, zmarłemu nie dawno prezesowi Dziennikarzy w Polsce, stryjecznemu bratu rzeźbiarki, z którym stykałam się za niezapomnianych czasów londyńskich.

Ze stolicy Anglii do stolicy świata jest tylko pół godziny drogi powietrznej, ale samolot naszej wyobraźni leci szybciej niż wszelkie odrzutowce, to też drepemy już po szerokich bulwarach nadsekanckich, przemierzamy dostojne sale Louvre'u, zbiegamy ze stromych uliczek Montparnasse...

W rzeczywistości rzeźbiarka powróciła stamtąd zaledwie trzy tygodnie temu, a już cierpi na "mal de Paris". To chroniczna dolegliwość skrzydlatych dusz — malarzy, rzeźbiarzy, poetów i tych wszystkich, którym danym było przeżyć pewien okres młodości w studenckich mansardach Dzielnicy Łacińskiej. Z rozrównieniem wspominamy wiecznie młodą staruszkę Sorbonę. Z uczelni tej pani Halina wyniosła przed laty swój pierwszy dyplom naukowy "licence ès lettres", który miał jej otworzyć drogę do kariery nauczycielskiej. Zwyciężyły jednak skłonności artystyczne. Przez cały okres studiów uniwersyteckich, potrafiła ona godzić naukę z pracą w Akademii Colarossi, u profesorów Barthlet i Injalbert, a następnie w Academie de la Grande Chaumière u genialnego Antoine Bourdelle.

Opuszczając tę kuźnię talentów, Halina Litauer ani myśli poprzestać na studiach artystycznych, odbytych w Paryżu. Po powrocie do kraju, już jako młoda mecenasowa Głogowska, zapisuje się do Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie, gdzie po zdaniu ostrych egzaminów wstępnych, rozpoczyna nowy okres studiów pod okiem Tadeusza Breyera i z czasem prof. Kuny. Gdy po pięciu latach opuszcza polską akademię sztuki, jest już dojrzałą rzeźbiarką, wystawiającą swe prace w Zachęcie i IPSIE, oraz — matką dwojga dzieci: Mariana Głogow-



GŁOWA INDIANKI

skiego, przyszłego architekta w Rio de Janeiro i Janiny, późniejszej Mme Lassus, doktora medycyny w Paryżu.

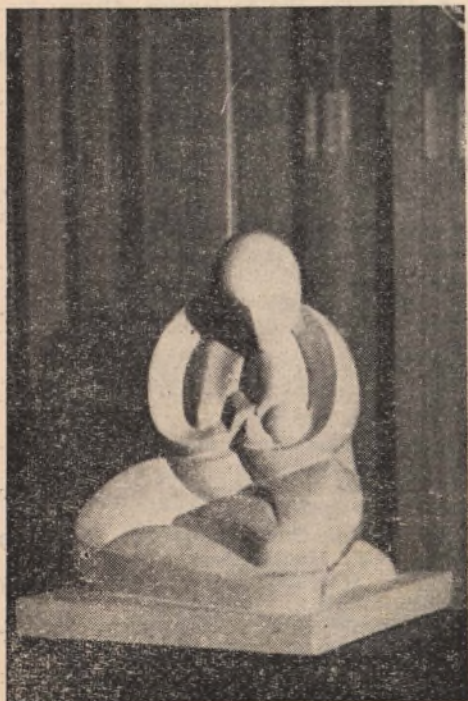
Rok 1939 zastał państwa Głogowskich w stolicy Francji, skąd po półtorarocznym pobycie, wyjeżdżają do Brazylii. Początek w tym kraju, jak dla wszystkich przybyszów dobrej woli ale szlachetnych zasad, jest brnięciem po grudach, tym bardziej, jeżeli do rodziny zakrada się choroba.

Po śmierci męża pani Głogowska poświęca pracę artystyczną dla pracy zarobkowej. Gdy tylko zła passa mija, powraca do rzeźby. Z czasem uruchamia kursy rzeźby i ceramiki, ciesząc się wciąż wzrastającym zastępem uczniów, z których wiele zdążyło się już usamodzielnic, jak np. Wanda Dutczyńska i Pioszka Kiszely, wystawiając z wielkim powodzeniem swe prace.

Artystka przechodzi na temat swych własnych wystaw. Wskazuje na rzeźbę "Macierzyństwo" za którą w 1959 roku otrzymała nagrodę "Grande Medalha de Prata" w Salão Paulista de Arte Moderna. Rok 1960 przynosi jej "Menção Honrosa" za "Głowę Indianki", wystawioną w Salão de Belas Artes. Indianka ta zwała się Zuma. Była dorodna i równie niezwykła, jak i jej historia, którą przy sposobności opowiemy czytelnikom — "Przeglądu" w formie noweli.

Wiele pracy poświęciła ostatnio p. Głogowska rzeźbom, symbolizującym cierpienie więźniów obozów koncentracyjnych. Cykl tych rzeźb podziwiali bawiący tu członkowie delegacji artystycznej z Polski i proponowali autorce prac przedstawienie ich Muzeum w Oświęcimiu. Rzeźbiarka wybierała się właśnie w podróż do Europy i miała odwie-

(Dokończenie na str. 10-ef)



MACIERZYŃSTWO

KRONIKA ZIEM ZACHODNICH

OBSERWATORIUM NA ŚNIEŻCE

Obserwatorium meteorologiczne na Śnieżce jest najwyżej położonym, stale zamieszkałym punktem w kraju (1605 m n.p.m.). Obserwatorium na Kasprowym Wierchu jest co prawda położone wyżej, ale pracownicy tej placówki nie mieszkają tam stale, tylko dojeżdżają z Zakopanego.

W obserwatorium na Śnieżce mieszka i pracuje stale pięć osób. Grupa ta pracuje w niezwykle ciężkich warunkach atmosferycznych. Najwyższy szczyt Karkonoszy ma warunki klimatyczne zbliżone do polarnych. Średnia wieloletnia temperatura wynosi tu 0°. Gdyby była ona trochę niższa, to na Śnieżce mielibyśmy już stały lodowiec. Na Śnieżce wieją również niezwykle silne wiatry. Pracownicy obserwatorium dokonując pomiarów często muszą przywiązywać się linami. Największa szybkość wiatru jaką tu zanotowano w ciągu ostatnich 15 lat wynosiła 57 m/sek.

W najbliższych latach na Śnieżce ma być wybudowane nowe obserwatorium meteorologiczne, we wspólnym budynku wraz z schroniskiem turystycznym. (ZAP)

FABRYKA W PARKU

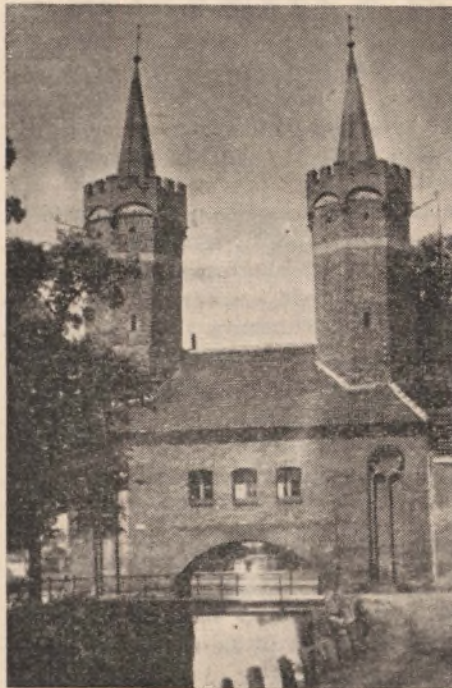
Gorzowskie Zakłady Włókien Sztucznych (woj. zielonogórskie) jeden z największych i najnowocześniejszych zakładów tego typu w kraju znajdują się za kilka lat wśród wspaniałego parku. 66% terenów, na których wznoszone są zakłady — pokrywają już obecnie bogato zadrzewione trawniki i kwietniki. W najbliższych kilku latach przewiduje się zasadzenie na terenie fabrycznym dalszych 4.600 drzew i 13 tys. krzewów. Również każda ulica w mieście otrzyma obramowanie z innego gatunku drzew. (ZAP)

DROGIE KAMIEŃ

"Nazywają czasem Dolny Śląsk polskim Uralem — pisze Wiesław Wadec ki w artykule "Klejnot klejnotów". — Dużo w tym megalomanii, ale zachowując właściwe proporcje, znajdzie się dla tej licencji nie tylko poetyckie uzasadnienie. Oto np. krótka notatka z prasy: "W Szklarach pokładom rudy niklowej towarzyszy prześliczny chryzopras, w powiecie Jawor wykryto wspaniałe agaty (...). W jordanowskich kamieniołomach nie brak nefrytu, którego wartość wynosi 120 dolarów za kilogram, a więc nefrytu najwyższej jakości i piękności."

Przeglądając literaturę poświęconą naszej ziemi (...) natrafiłem na następujący cytat ze starych kronik: "ad Wisocum bubulcos petere lapidibus vacas, qui ipsi vaccis longe sint pretiosiores". (Pod Wysoką pasterze, zaganiając krowy, rzucają za nimi kamieniami, które od samych krow są droższe). Jakże żywo zdanie to przypomina dawne relacje z wypraw uralskich.

Utwierdziło mnie to w przekonaniu, że warto pojechać śladem wspomnianej na wstępie notatki i poszukać na Dolnym Śląsku cennych, drogich kamieni. Wybrałem nefryt. W czasach starożytnych wartość jego równała się złotu. Dziś spadł znacznie w cenie, ale 120 dolarów za jeden kilogram to też nie mało (...)



STARGARD — BRAMA MEYNSKA
Na rzece Inie

Poszukajmy go. Od południa i od wschodu garbowy masyw Sobótki okalają pasma wzgórz, które ciągną się ok. 20 km od Nasłaniec do Glinic. Jeśli w południowej ich części, w Jordanowie, skreślić w kierunku Sobótki, a potem w pobliżu cmentarza wyszukać polną drogę, zaprowadzi ona prosto do kamieniołomu. (...) Tu właśnie, pośród złóż serpentynitowych, występuje nefryt. (...) Charakteryzuje go, jak mówią fachowcy, wysoka zwężność, czyli inaczej — twardość. Dlatego też w czasach jeszcze przedhistorycznych obok krzemienia używany był przez naszych przaszczyków do wyrobu narzędzi. Nie bez powodu w "Słowniku Języka Polskiego" Karłow-

W PRACOWNI GŁOGOWSKIEJ

(Dokończenie ze strony 9-ej)

dzie również Polskę, ale z przyczyn od siebie niezależnych z wizyty zrezygnowała. Na razie myśli o wystawieniu swych rzeźb-symboli na terenie Brazylii. A potem — zobaczymy — uśmiecha się enigmatycznie.

Ściemnia się. Dzwonek u drzwi oznajmia przybycie pierwszych uczennic na wieczorowy kurs. Opóźniam niechętnie wyjście jedynym pytaniem, usprawiedliwiającym cel mojej wizyty w domu rzeźbiarki.

— Jakie są plany pani na przyszłość?

— Pracować co sił starczy — brzmi odpowiedź zarówno skromna, jak stanowcza. Czy mogłabym spodziewać się innej?

Rozmawiała: MIRA CARLA

Poprzyj "PRZEGLĄD POLSKI"
czynnie składając ofiarę na
Fundusz Prasowy!

cza podana jest jego druga nazwa — siekiernik. Pozostańmy jednak przy nefrycie. Nazwa ta jest pochodzenia greckiego, Nephros — znaczy nerka. Ponieważ podobny był do nerki, tak go nazwano i wierzono, że pomaga w leczeniu (...) Nefryt najczęściej bywa soczysto zielony przy niewielkiej przezroczystości. Bywają odmiany szare, oliwkowe, jasnozielone, a nawet mleczne, niebiesko-zielone lub czerwone czy żółte. (...) Jordanowski nefryt jest ciemnozielony, choć rozpiętość jego kolorów też jest szeroka. (...) Z nefrytu można robić cudne rzeczy. Niegdyś używano go do produkcji siekier i ostrzy włóczni. Potem przeznaczono na posążki bożków i amulety. Wreszcie zaczęto produkować wazy i puzdra, filiżanki i talerze, przyściski i broszki. Z nefrytu można wyczarować piękne cacka, które dziś, tak jak wczoraj, cieszą się wielkim powodzeniem na całym świecie. Nefryt to bogactwo.

I cóż jeszcze powiedzieć na zakończenie?

Chyba tylko to, że są na Dolnym Śląsku ludzie, którzy to rozumieją: kamieniołom pracuje i produkcja galanterii z nefrytu jest już w toku. O tym jednak przy innej okazji". (Odra)

NAGRODY DLA CZYTELNIKÓW

W końcu roku 1960 odbyło się w Redakcji "Przeglądu Polskiego" losowanie książek przeznaczonych dla naszych miłych Czytelników w upominku gwiazdkowym.

Wylosowały nagrody następujące osoby:

E. Korwin-Piotrowski, Melo Franco (M.G.)
Zadło Genowefy J. Meissnera.

W. Stempień, São Paulo. Album: Wrocław.

S. Gliksman, São Paulo. Album: Juliusz Słowacki.

A. Duntuch, São Paulo. Album: Z biegiem Dunajca.

B. Czernorucki, São Paulo. Album: Opole.

K. Małachowski, São Paulo. Niewiarygodne przygody Marka Piegusa E. Niziurskiego.

F. Gryzełko, Rio de Janeiro. Album: Ziemia Sandomierska.

W. Tucholski, São Paulo. Album: Ziemia Sandomierska.

H. Bock, São Paulo. Sprzysiężenie Czarnej Wydry N. Szczepańskiej.

Jednocześnie Redakcja przeznaczyła następujące nagrody książkowe dla naszych miłych współpracowników i dla Czytelników, którzy przyczynili się do rozpowszechnienia naszego pisma:

M. Sławińska, São Paulo. Stara Baśń J. Kraszewskiego.

J. Grabias, São José dos Pinhais, Pr. Żołnierze Kościuszki — Tropaczyskiej-Ogarkowej.

L. Świeżawski, São Paulo. Chrobry W. Przyborowskiego i O Zawiszy Czarnym opowieść — K. Bunscha.

J. Pfeferowa, São Paulo. Bezgrzeszne lata K. Makuszyńskiego.

S. Pochwatka, Arapongas, Pr. Portret z konwalia J. Piaseckiego.

M. Sekuła, Guarapuava, Pr. Rumieńce wolności T. Kudlińskiego.

S. F. Werpachowski, Curitiba, Pr. W grodzie Zaków A. Gruszeckiej.

J. Wójcik, Porto Alegre, RGS. Kamienie na szaniec A. Kamińskiego.

S. Doria-Dernałowicz, S. Paulo. Album: Pieniny.

H. Gaździcka. Przygody Sindbada Żeglarsza - Leśmiana.

SUTANNA SZYMONA

MIRA LAMPE - SŁAWIŃSKA

Przywarty całym sobą do ściany między oknami drugiego piętra starej wąskiej kamienicy, przyglądał się ukosem ruchowi na krótkim odcinku Krakowskiego Przedmieścia. Naprzeciw okien stał biały szpital z czarnym napisem nad bramą: Res sacra miser.

Z łaciną nigdy nie był Szymon zbyt tego, to też nie wiedział dokładnie czy napis mówił, że sprawa nędzarza jest święta, czy, że rzeczą świętą jest nędzny. W istocie wychodziło na jedno. Uśmiechnął się boleśnie: to o niego samego chodziło. Stał się nędzny, tak okrutnie nędzny, że aż niewidzialny, nieobecny, ba — niekonkretny. — Ale myślę, więc jestem — wstrząsnął nim bunt człowieka pozbawionego wprawdzie swobody ruchu, ale nie ze wszystkim pokonanego. Pozostał nadal rządcą swych myśli! Poczuł się niewypowiedzianie zobowiązany Kartezjuszowi i — zacnym Kowalczykom zarazem. Ulubionemu myślicielowi zawdzięczał równowagę ducha, Kowalczykom ukrywanie wymizerowanej powłoki ziemskiej...

Sposępniał raptem: istnieje, to prawda, ale jakaż to niesamowita egzystencja, zmiłuj się Boże! Mieszka w domu, który nie tak dawno jeszcze był jego domem, pośród swoich własnych mebli, obrazów, dywanów, bogatego księgozbioru, otoczony ścianami, które z biegiem lat wchłonęły część jego samego — oddech, słowa, szept, zapach papierosów, wody kolońskiej — a nie ma prawa do żadnego przedmiotu, który do niego należy. Nie wolno mu nawet poruszać się, jak normalnej istocie ludzkiej. Znajomym wiadomo, że przebywa zagranicą. Prawdę znają jedynie Kowalczykowie: ona — długoletnia gospodyni jego i mąż jej, nie wiadomo kto, poślubiony w pośpiechu między dwoma nalotami. Z ich to łaski zajmuje dawną ciemną kuchnię o zamurowanym oknie, już przed laty zdegradowaną do rupieciarni, a obecnie — prawem wojennych wyrównań — podniesioną do godności archiwum pamiątek i wspomnień, utrwalonych w starych listach, albumach ze zdjęciami, w napoły zleżałych mundurach i cholewach.

Ta ciemna, odosobniona izba stała się teraz jego zakonspirowaną celą. Gruby szary kilim całkowicie zakrywa jej drzwi do ciemnego przedsionka, oddzielającego ją od dawnego stołowego, który Szymon nazywa obecnie swym "iluzjonem". Pokój ten stał się bowiem jedynym swojego rodzaju przybytkiem wrażeń; jest to miejsce, z którego wolno mu codziennie, w porze obiadowej zerkać ukosem, jak najostrożniej, na żywą, realną krótkometrażówkę ruchliwej arterii Warszawy. Kwadrans spędzony ukradkiem blisko okna, to jedy-

na przerwa w jego obskurnej vegetacji, trwającej już od wielu, wielu miesięcy. Żyje o wazce zupy, o ćwiartce razowego chleba, z rzadka połyskującego smalcem. I nie wolno mu zrzędzić. Czuje, że słabnie z każdym dniem, ale na pytanie Kowalczyków "jak się pan dziś czuje, panie Szymonie?" odpowiada z udanym humorem:

— Ależ fan-tas-tycz-nie! Żeby tak wszystko inne, jak zdrowie, proszę kochanych państwa!

Wie dobrze, że gdyby tylko napomknął o złym samopoczuciu, o bólach w krzyżu czy zawrotach głowy, przeraziliby się nie na żarty i nie zechcieliby już dłużej znosić jego obecności w "ich" domu. Na jakie to nieobliczalne wprost następstwa naraziła by ich jego choroba albo śmierć. Uchowaj Boże — wzdryga się Szymon. Musi trzymać się, musi przetrwać za wszelką cenę. I trzyma się, a jakże. By nie wyjść całkowicie z formy, myje się dwa razy dziennie od stóp do głów, podczas dnia w dużej misce, w nocy — w ukryciu przed Kowalczykami — w opuszczonej łazience służbowej o pół piętra wyżej, pod zimnym prysznicem, jak to na wojnie pod pompą bywało. Ubiera się codzień, jak najstaranniej, dba o równość kantów u spodni, wyprasowanych nocą przez materac. Przypina sobie nawet sztuczne prawe ramię, które wydaje mu się z każdym dniem cięższe... Nieważne. Wszystko minie. Niech tylko ta szatańska wojna ustanie, sprawi sobie nową protezę. Będzie lekka, nowoczesna, sprowadzi ją z Ameryki...

Szymon stoi nieruchomy przy ścianie i zerka w róg okna. Wtem! Ależ to niemożliwe! Mruży oczy, by lepiej dojrzeć... Nie, nie, nie — krzyczy i już milknie przerażony swoim własnym, tak obco brzmiącym głosem. Przysuwa się coraz bliżej framugi. Na skwerku zatrzymał się ksiądz w sutannie. Rozejrzał się niespokojnie, jakby szukając kogoś i szybko zawrócił w stronę kościoła świętej Anny. Jego chód, jego kształt głowy... Szymon błednie i nie bacząc na czyhające niebezpieczeństwo, rozsuwa gwałtownie firanki. Już nie ma najmniejszej wątpliwości: to Janusz, to ksiądz Berg. Na prawym ramieniu odcina się od czerni sukna biała opaska z niebieską gwiazdą syjońską, jaką zmuszeni są nosić Żydzi.

— Oprychy krzyżackie — wyrzuca z siebie wraz ze śliną Szymon — nawet tych nie oszczędzą, nawet tych —

Za księdzem przystają gapie. Niektórzy idą z nim. Z przechodniów zbija się tłum. Ksiądz już znikł w drzwiach kościoła, a ludzie jeszcze stoją. Jedni śmieją się, inni kiwają głowami, ktoś wygraża komuś pięścią.

Pamięci dra. Aleksandra Hellmana
i ks. proboszcza Pudra —
poświęcam.

Szymon zasuwa wolno muślin firanek przesasyconych zapachem zestarzałego kurzu i zgity we dwoje wlecze się do swego legowiska. Przez serce ołowiane z bólu, przewija się srebrna niteczka wspomnień z czasów szkolnych...

Szli razem od podwstępnej: Niko — przezwany w wyższych klasach "weterynarzem", dziś znany chirurg, Henio-Mecenasik, Szymek - Jenerał i właśnie Janusz Berg... Zawsze był wąty i szybko męczył się na gimnastyce. Często opuszczał lekcje w szkole, natomiast rzadko nabożeństwo w niedzielę. Kiedy był małym chłopcem prowadziła go za rękę Honorcia do Świętego Krzyża. Rodzice nic przeciw temu nie mieli. "A niech się przejdzie" — wzruszali ramionami. Szczególnie upodobał sobie nabożeństwa majowe wśród białych bzów i błogiej, nieziemskiej muzyki. Dziwaczek był z niego, ale tyle powagi szło od jego drobnej postaci, że nikt nie zdobył by się na najłżejsze choćby drwiny. Tylko jasnowłosa matka Janusza, przypominająca raczej germankę, niż semitkę, tuląc go do siebie, szeptała mu na wpół żartem do ucha: "Mój ty kochany, mały goj"!...

Razem przeszli gimnazjum, razem siedzieli na Pawiaku pamiętnego roku dziewięćset piętego. Rozłączyła ich dopiero matura. Każdego wywiało w inną stronę. Nikodem, jak było do przewidzenia obrał studia medycyny w Heidelbergu, Henryk — wydział prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, Janusz długo walczył z rodziną i z sobą samym, zanim zdecydował się ostatecznie na Rzym.

Tylko jemu, Szymonowi, los odmówił prawa wyboru. Zawsze pociągała go wojaczka, marzył o niej od smarkacza, kiedy to stary "durszlak" służył mu za hełm, a trzepaczka za karabin. Gdy w domu spostrzeżono, że zabawa "w wojnę" pasjonowała go w niewspółmiernym stosunku do stopnia zainteresowań rówieśników, stryj Moryc uderzył na alarm: — A ja wam mówię, że to się źle skończy! Chłopak ma hysia! On potrzebuje być wojskowy? Ausgerechnet wojskowy! Też geszeft! Kto będzie słuchał żydowskiego generała, kto, ja się pytam?

— Jeżeli Janek Berg chce zostać księdzem... — nieśmiało bronił swych interesów mały Szymek.

— Ten Janek to już zupełnie jest myszuga". Cie proszę zostaw go w spokoju, póki jeszcze czas — ryczał stryj.

Gdy Szymon z wysiłkiem zdał maturę, wysłano go do wyższej szkoły handlowej

14

w Lipsku. W pojęciu merkantylnie nastawionego stryja chłopak nie był orłem i dopiero parę lat nauki, a następnie praktyki, mogło wykrzesać w nim atawistyczną ale zaprzepaszczoną smykałę do handlu.

Po powrocie ze studiów został — na początek oczywista, — pomocnikiem księgowego w banku stryja Moryca. Wcale nie w smak mu było przesiadywanie niekończącymi się godzinami wśród zakurzonych, zimnych rejestrów. Zgarbiony nad biurkiem upatrywał w długich kolumnach cyfr szeregi maszerujących żołnierzy, w stuku maszyn do pisania dosłuchiwał się kaskad strzałów karabinowych, grube kreski podsumowań były liniami frontów, strony kredytu i debetu zwracały się ku sobie, jak dwa zażarte wrogi.

☆

Pewnego dnia przyszło nań wyzwolenie nagle, słonecznie, jak pierwszy wiosenny dzień: legiony. Szymon zaciągnął się pełen entuzjazmu, nadziei i wiary w nową Polskę i jej armię. Krótko, niestety, był szczęśliwy. Ciężko ranny w prawe ramię podczas jednej z bitew w wojnie dziewięćset dwudziestego roku, wyżył się wszelkich iluzji i z obłoków zszedł do dawnego "kantoru" stryja Moryca.

Czwórka ich zebrała się znowu zupełnie przypadkowo na jakiejś akademii, poświęconej jednemu z wielkich pisarzy polskich, bo to już była Polska na dobre, a każdy z nich "zrobiony" w swym zawodzie.

— A więc jednak — Janusz? Dopiąłeś swego i chodzisz w kiece, — zauważyli koledzy z pewnym niedowierzaniem i nie bez szczypty ubawienia.

— Każdy z nas nosi w życiu swoistą sutannę — odparł ze zwykłą sobie pogodą — tylko, że ja — tę swoją zewnętrzną szatę powołania noszę stale, podczas kiedy wy, wasze jedynie w godzinach urzędowania. Ty, — zwrócił się do Nikodema — używasz swój biały kitel w szpitalu czy w gabinecie przyjęć, ty — swoją togę w sądzie, Henryku.

Powiódł wzrokiem po Szymonie.

— Myślałem, że zobaczę cię w mundurze, Szymek.

— Nie udało się. Teraz znowu pracuję w banku.

Nastała chwila kłopotliwej ciszy, ale już posypały się pocieszające komentarze kolegów.

— Najlepiej z nas wszystkich na tym wychodzisz.

— Przynajmniej spokojna praca.

— I określona liczba godzin.

— Zawód, w którym najmniej przeszkadza ci pochodzenie — zauważył cicho ksiądz Janusz.

☆

Szymon stoi u okna otulony w koc. Zimno mu. Jest znowu jesień. Bezmyślnie liczy przechodniów i liczy rdzawe liście, padające z drzewa prosto do kałuży. Teraz wiatr musiał zadąć silniej, bo

liście lecą skośnie i coraz gęstszą chmurą, jak odlatujące ptaki.

I ludzi już nie sposób liczyć, coraz ich więcej, już nie idą, a biegną, pędzą.

Wypadek — zgaduje Szymon i już słyszy zbliżający się sygnał Pogotowia. Z karetki wysiada nie kto inny, jak doktor Nikodem, chudy, pochylony, od ostatniego spotkania już po kapitulacji — o dziesiątek lat starszy. Ma na sobie kitel lekarza, na ramieniu — dwie opaski: syjońską i Czerwonego Krzyża. (Kiedy Szymon widział go ostatnio, doktor nosił jeszcze inną — Straży Obywatelskiej).

Gwiazda Dawida i Czerwony Krzyż z jego szlachetnym hasłem: Inter arma caritas. Wspaniałe te słowa nabierają posmaku drwin. Szymon czuje piekącą gorycz w krtani. Ofiarę wypadku wsuwają na noszach do ambulansu, doktor znika w kabinie kierowcy i wóz odjeżdża.

Szymon stoi za firanką i płacze. Wstyd mu. Siedzi w swej kryjówce bezczynnie, nikomu nie przydatny. Uparł się, że nie włoży opaski, bo jest Polakiem i nie pozwoli "poznać" się, jako obcy, jako odrębny. On z tej ziemi, tu się urodził, jak i jego ojciec, jak dziad, pradziad i wiele pokoleń jego rodu. Nie ugnie się więc, nie ustąpi, raczej nie wyjdzie już krokiem na ulicę.

— A nie wyjdę — zaciska pięść — aż jako wolny człowiek, albo...

O tym, że widział doktora Nikodema opowiada nazajutrz Kowalczykowej, kiedy ta przynosi mu jego chudy obiad. I o tym, że czuje się nie w porządku wobec swych dawnych kolegów.

— I tak się wszyscy spotkacie — mówi kobieta, która od czasu, gdy aresztowano jej męża jest rozdrażniona i wyraźnie niechętna byłemu chlebodawcy — mówią, że ghetto będzie otwarte już w tym miesiącu, piętnastego, w samą Jadwigę, — dodaje.

— Tam zaczniemy, jak przed dziewięćset piątym — buduje Szymona myśl o walce. Niestety, staje się inaczej. Już w drugim miesiącu istnienia omurowanej dzielnicy zaczynają pojawiać się tragiczne wiadomości, na razie kłamliwe, szerzone przez okupanta, o wybuchach tyfusu, cholery. Z czasem staje się to prawdą. Poza tym rośnie zastraszająca liczba samobójstw. Dniami i nocami napływają wysiedleńcy z prowincji, z Niemiec, z Czechosłowacji, Węgier, Rumunii. Coraz ciałniej, coraz nleżnośniej. Nie ma co jeść, nie ma lekarstw, gram cjankali kosztuje zawrotną sumę.

Z pierwszym śniegiem przychodzi wiadomość o śmierci doktora Nikodema. Umiera nagle w chwili niesienia pomocy dziecku z transportu Żydów z Hamburga. Niemal równocześnie przemycony "gryps" od Kowalczyka z Dachau wspomina o księdzu Januszu, uwięzionym w sąsiednim bloku. W kilka tygodni potem drugi gryps i ostatni: — Ksiądz Janusz ginie od kolby esesmana

w chwili, gdy w drodze do łazienki obywatelskiej spowiada współwięźnia.

Myśli Szymona biegną ku Henrykowi. Co z nim?

Odpowiedź przychodzi szybciej, niż mógłby się spodziewać. Pewnego dnia zawinięto Kowalczykowej dwa jej racjonowane śledzie w parę arkuszy "Czarnego Korpusu", niemieckiego organu najordynarniejszej hecy antysemickiej.

— Niesłychany tupet żydowskiego adwokata — wrzeszczą wielkie tłuste zgłoski tytułu na pierwszej stronie.

... w chwili gdy funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa wchodzą by zlikwidować kancelarię adwokata Herszla Rapoporty vel Henryka Rapowskiego, wszczynają tenże bezczelny kłótnię, wkłada togę, staje na krześle i wygłasza mowę pełną wyzweisk i przekleństw na naszego Führera. Dopiero od dawna zasłużona kula kładzie kres oracji Żyda, jak się okazuje od roku beznadziejnie chorego umysłowo".

Szymon chwytą się za głowę. Nad nim wiruje podłoga; wielki kufer zawisł na ścianie, szafa chyli się wprost na niego.

— Boże ratuj — jęczy — może i ja oszalałem?

Następnego dnia oznajmia Kowalczykowej, że nie ma już zamiaru ujawnić się przed władzami, by móc przenieść się do ghetta. Po co? Nie zastanie już przyjaciół.

— Ale będzie pan mógł jako tako żyć pomiędzy swoimi, a tu już mowy nie ma. Wciąż rewizje. Co pan, co pan? — zawodzi kobieta. — Czy pan nie wie na co mnie naraża ten głupi pański pomysł? Com ja sobie narobiła, Matko jedyna! Pan musi stąd iść — wybucha nagle, wymachując rękami — musi! Co mnie obchodzi, że pan zginie. Mój też ginie, słyszy pan? Mój też. Teraz jest wojna. A żeby pan w wojsku był, na wojnie? Musiał by zginąć na posterunku, no nie?

Odtąd przebywa Szymon już tylko w rupieciarni, myje się tylko w nocy. Unika Kowalczykowej, nie ma odwagi spojrzeć jej w oczy. Ma rację kobieta, że nim pogardza: jest tchórzem. Tamci zginęli, jak bohaterzy, jak żołnierze, każdy na swym posterunku, każdy w swojej sutannie... I ja tak powinienem zginąć. I zginę — mówi do gospodyni, biorąc z jej rąk miszkę z kaszą.

Co pani myśli? I ja mam swoją sutannę — uśmiecha się tajemniczo z dziwnym, niesamowitym błyskiem w oczach, który jedynie umacnia Kowalczykową w podejrzeniu, że jej były chlebodawca ma "hysia".

Ale "hyś" ten przywraca Szymonowi zachwianą równowagę. Sypia teraz spokojnie i dłużej. Po nocach śnią mu się polegli przyjaciele. Są znowu sztubakami i zmagają się na wagary. W Agrykoli zielenią się zbocza i przez sztachety parku łazienkowskiego różowieją saśanki. Koło kamiennej wanny stoją Janek, Heniek i Niko i wołają go do siebie.

(Dokończenie na str. 21)

15

Często myślę o "Mamie" i nadziwić się nie mogę, że ona i jej mąż, tak biegunowo różni charakterem, usposobieniem, upodobaniami, a przede wszystkim — środowiskiem, z którego każde z nich się wywodziło, żyli ze sobą tyle długich lat w miłości, zgodzie i wzajemnym poważaniu.

A więc nie miał racji Prus, twierdząc, że dwoje ludzi, aby móc być szczęśliwymi w pożyciu, musi "dobrać się z jednego gatunku". Oczywiście nie ma reguły bez wyjątków. Ożenił się z wiochną Rydel, Przerwa-Tetmajer, Wyśpiański, dlaczegoż-by nie wolno było młodemu, romantycznemu studentowi Grabowskiemu pojąć za żonę urodziwej córki gospodarskiej ziemi łotewskiej?

Kiedy ją poznałam w Libawie, była już szmat czasu za panem Grabowskim i, jak mówiono, nie wiele jej pozostało z wdzięków owej gładkiej i gibkiej łani, jaką ponoć była za dziewczęcych lat.

O ile z tego wczesnego okresu życia zachowałam nader mgliste wspomnienia o panu Grabowskim — zjawiał się u rodziców wieczorami, gdy już spałam — o tyle Mamę widzę przed sobą, jak by to było zaledwie wczoraj.

Wysoka, szczupła, o bladej, szlachetnej twarzy, z wysoką koroną kasztanowego warkocza na zgrabnej głowie, nosiła się prosto, dufna i poważna, choć ubrana skromnie, bez najmniejszych pretensji i zawsze na czarno.

Lubiła zabierać mnie ze sobą na nieszpory albo na główny rynek. Kto zna Libawę, temu nie obce bogactwo, różnorodność i rozmiary darów morza Bałtyckiego i pól łotewskich. Pomiedzy straganami objuconymi wspaniałymi okazami ryb, zajęcy, kogutów oraz pantagruelskich głów kapusty i kalafiorów, koszami czereśni czy wiśni wielkości śliwek, czułam się, jak Ala w krainie czarów.

Mama szła zawsze bardzo prędko, tak, że aby dorównać jej sążnistym krokom, musiałam biec obok niej i to w tempie małego bersaliera. Ale od czasu do czasu przystawała, jak nagle zahamowany wehikuł przy którymś ze straganów i wtedy mogłam nabrać tchu do dalszych susów. Mama obrzucała krytycznym wzrokiem bogatą i kolorową wystawność lady, podnosiła całą długość ramienia i z jej zaciśniętej dłoni wystrzeliwał palec wskazujący w kierunku artykułu, który ją interesował. Ruchowi temu towarzyszyło nieodłączne pytanie donośne i zawsze w tonie wyrzutu:

— Cyk maksa? (*)

* * *

Po przyjeździe do Warszawy, gdzie Grabowscy zdążyli się już urządzić na nowo — opuścili Rosję na dwa lata przed nami — zastaliśmy Mamę niedomagającą i zmienioną zewnątrz. Uporczywe migreny zmusiły ją do złożenia wspaniałej korony z włosów, co odjęło jej przynajmniej półtora cala wzrostu, natomiast wciąż jeszcze pięknej twarzy, okolonej czarną jedwabną chustą, opadającą na ramiona, nadawało uduchowiony wyraz cierpiącej Madonny. Upodobanie do czerni i do bardziej, niż skromnego sposobu ubierania się pozostało u niej niezmiennie, ale złagodniały o wiele jej energiczne, bywało szorstkie ruchy dziedziczki i zwolnił się szybki kiedyś, choć zawsze skupiony chód mniszki. Powieki jej drgały nerwowo a źrenice wybijały się chwilami gdzieś daleko, wysoko, ponad ziemskim widnokregiem. Ale zdarzało się, że nawiedzały ją okresy powrotu do rzeczywistości i otoczenia i wtedy znowu poznawałam Mamę z Libawy. Wracało donośne brzmienie głosu i tak charakterystyczny dla niej krytyczny stosunek do "tego spodłałego, zbolszewiczałego świata", którym — na

MAMA

Mira Lampe-Sławińska

szczęście przejściowo — rządził Antychryst i działał się takie "okropne okropieństwa". Wracała dawna surowość sądu, bo choć serdeczna dla bliskich, ofiarna dla bliźnich w potrzebie, niezwykle subtelna w uczuciach rodzinnych, potrafiła być bezwzględna wobec ludzi, których uważała za nierobów, lekkomyślnych, obojętnych dla rodziny, szczególnie potępiając kobiety próżne i błyskotliwe.

— Niuchać takich nie mogę — obruszała się — brzydzę się tego tałałajstwa, jak heretyków — dodawała z naciskiem fanatyczki, wnet jednak mitygując się w obecności mego ojca.

— Pan doktor "wyjątki", rozumi-sja, prawy człowiek i żenił-sja na katolickie —

Lubiła nadużywać przymiotnika "prawy". Prawe według niej było wszystko, co dobre, mądre, uczciwe, przyzwoite i piękne. Pamiętam, że poważne wątpliwości nasuwały się jej co do "prawości" sztuki, której hołdował jej syn, początkujący artysta-malarz. A gdy już naprawdę nie godziła się z jakąś z jego prac, wzruszała pogardliwie ramionami i krótko oceniała, jako "okropieństwo", ku pobłażliwemu uśmiechowi pana Grabowskiego, który raczej skłonny był dopatrywać się geniusza w swym jedynaku. Sam Stach także niemo reagował na jej naiwne komentarze i uwagi. Natomiast uśmiech jego krył inny wyraz. Pomimo wszystkiej miłości i respektu, jaki żywił dla matki — zdawał się pytać: cóż jest między mną a tobą, — niewiasto?

* * *

Z biegiem lat pod wpływem chorób, operacji, tęsknoty za synem, który wyfrunął z gniazda i uleciał w dalekie kraje, religijność jej wyrodziła się w rodzaj mistycyzmu, jaki fermentuje w istotach chorowitych, cierpiących, zdezorientowanych, o umyśle nieformowanym, gubiącym się w kontaktach z nieobecnymi i ze zmarłymi. Każda operacja pogarszała ten jej stan psychiczny. Biedaczka stawiała się coraz bardziej duchem, niż ciałem, coraz częściej porozumiewała się z zaświatami, marząc, o zasłużeniu na miejsce w niebie, gdzie wszyscy są sobie równi i mówią "na takim samym języku". Oczywiście nie mogło tam braknąć jej Grabowskiego, jak nazywała tkliwie męża, którego oczekiwać miała w rajskich sieniach, przyczajona za najlepszym z obłoków, jak kiedyś za młodych lat, czekała na niego stęskniona i zakochana za złotym stogiem siana w polu...

Wszak jeszcze za życia, na ziemi, dochodziło do tego, że, jak sam opowiadał pan Grabowski, małżonkowie rozłączeni ze sobą krótką podróżą czy pobytem Mamy w szpitalu, porozumiewali się ze sobą telepatycznie.

Złe języki mówiły, że z Mamą po prostu "cosik nie sztytuje"! Od przyjazdu do Warszawy rzeczywiście sprawiała wrażenie jakiejś zmieszanej, zagubionej w labiryncie. Ale rodzice moi uważali, że przemiany psychiczne tego rodzaju zdarzają się często istotom o słabym systemie nerwowym, zbyt brutalnie przesadzonym z wojennej soczystej gleby rodzinnej na zimny, szary i nieprzyjazny bruk wielkiego obcego miasta.

— Szarotka nigdy nie zapaści korzonków nad stawem, lilia wodna nigdy nie przyjmie się na szarym ugorze — filozofował smutnie pan Grabowski, w obronie swojej Mamy.

* * *

Jak prosty i skromny był jej sposób bycia, myślenia, ubierania się, tak proste było jej domostwo. Przede wszystkim zwracał uwagę brak firanek w całym domu. Uważała je za niepotrzebne, choć mieszkanie było wyjątkowo słoneczne i często raził nadmiar blasku.

— „Kurzołapy i światłokrady” — mawiała o zasłonach — nigdy za dużo światła w naszym życiu.

Z wyjątkiem salonu, który najprawdopodobniej urządził sam gospodarz z odziedziczonych antyków i pamiątek rodzinnych, wszystkie inne pokoje odznaczały się niezwykłą prostotą, mebli ściśle funkcjonalnych, jakby się powiedziało obecnie. Nic zbytecznego, tylko to co mogło służyć niewyszukanej wygodzie mieszkańców. Żadnego przeładunku tak często cechującego domostwa starszych ludzi, żadnej dekoracji: kryształ, ceramika czy srebra. Tę nagość domu wypuklała jeszcze wprost szpitalna czystość, a przecież nigdy nie widziałam Mamy krzątającej się koło mebli, służąca zaś sprawiała wrażenie gościa w kuchni.

— To krasnalki mi pomagają nocą — żartowała — żeby tak jeszcze gotować zechciały!

Jedyną weselszą nutę kobiecości nadawały temu surowemu domowi płóciennym serwetom haftowanym w polne kwiaty oraz również wyszywanym barwnie płóciennym powleczone poduszki na szerokiej kanapie. Płócienny był i chodnik w przedpokoju, może jedyny w całym mieszkaniu, jako, że Mama bojkotowała wszelkie dywany i kilimy. Lśniły więc posadzki — jedyny wykwint w dworskim domostwie Mamy — zimną, zwierciadlaną golizną.

Ale z szaf pachniały jabłka, przechowywane między bielizną, a z kuchni ulatywał aromat mięty, majeranku i rozmarynu, łącząc się w symfonię woni, tak charakterystyczną dla opiewanej gotowalni kresowych gospodyń.

A gospodynią była pani Maria ponad wszelką pochwałę. Będąc jeszcze dość silną — wybierała się na targ niemal — że o świecie. W drodze po zakupy potrafiła zjawić się pod naszym domem przed otwarciem bramy.

— A wy śpiochy — wołała z ulicy ku zgorszeniu zaspanych lokatorów i zażenowaniu mojej matki — a toż to grzech zaspać taki piękny wschód słońca!

Mówiła z wielkim wdziękiem. Wszystka jej pozorowana surowość topiła się w słodczy wymowy.

— Klaskałam — tłumaczyła swoją hałaśliwą ranną wizytę — bo zdawało mnie-sja, że u was dzwieniczek nie dzwieniczek...

Pamiętam, że, biedaczka, dwoiła się i troiła, by nawrócić mojego ojca na katolicyzm. Pomimo całej sympatii do niego, nie mogła mu darować, że duszę swoją i córek „preparował diabłom na patelnię”. To też póki jeszcze byliśmy z siostrą w domu u rodziców, szliśmy z nią na pasterkę czy „na groby”. Na nieszpory szła z nią niekiedy matka. Rządziej towarzyszyła jej dorożką na rynek i to w okresie „nowalijek”, tłustych „kuraczków” i „socznych” śliwek na powidła.

Mama zjawiała się u nas zawsze wczesnym rankiem sama albo ze swoją służącą, natomiast o wiele rzadziej w towarzystwie męża. Te wizyty we dwoje były jak najbardziej intymne i miały miejsce po uprzednim upewnieniu się, że „nikogo innego nie będzie”.

— Bywam jedynie u najbliższych przyjaciół i to nieoficjalnie — mawiał pan Grabowski — wyzwoliłem się już dawno spod dyktatury towarzyskiej i — jestem szczęśliwy. Mam cichy i schludny dom i mam Mamę...

Podczas tych wieczornych wizyt, szczególnie gdy powracały jej bóle, stawała się biedna Mama nieznośna. Mówiła dużo i bez składu, ale pan Grabowski zawsze spokojny, zawsze cierpliwy i wyrozumiały, wyprowadzał ją taktownie z wdzięcznych zresztą gaf i biorąc tkliwie za rękę namawiał do powrotu do domu.

— Na nas czas, Mameńka — przekonywał łagodnie — zapomniawsz o lekarstwie. Chodźmy, trzeba odpisać Stasiowi...

Na dźwięk „imienia” syna kapitulowała. Milkła, kurczyła się i uwieszona u opiekuńczego ramienia „swojego” Grabowskiego, dreptała posłusznie do domu.

I znów urywały się jej ranne czy wieczorne wizyty na dłuższy okres nowego niedomagania, po to, by któregoś dnia zjawiała się jeszcze bledsza, jeszcze bardziej bezcielesna. Coraz mniej czasu poświęcała „sprawom ziemskim”, coraz częściej mówiła o Stasiu.

Ostatnie moje wspomnienie o niej, to obraz jej siedzącej w głębokim fotelu przy oknie w dawnym pokoju syna. Z jednej z fałd czarnej spódnicy wydobywa swój stary różaniec z wielkim, żelaznym krzyżem. Nie bacząc na naszą obecność przesuwając rzeźbione, drewniane paciory... W pewnej chwili zatrzymuje się nad jednym z nich i głośno wzdycha:

— Żalco mnie, że Staszek nie został księdzem, tak, jak chciał, gdy był malusienki — mówi akcentując u w ostatnim wyrazie — miał by swoją parafię gdzieś na spokojnej wsi i żył by sobie zbożnie i miło. Ja miałabym go blisko i dbałabym o niego... A tak żyje on w dalekim, grzesznym mieście (ma na myśli Paryż), czasem może i nie doje, nie dośpi...

* * *

Tu urywają się moje wspomnienia o Mamie. Zmiany w świecie, śmierć w rodzinie, wojna, wyjazd z Kraju — przecięły naszą przyjaźń. Nie wiem kiedy umarła, jak i gdzie. Prawdę mówiąc, nie chcę nawet wiedzieć. Wolę wyobrazić sobie, że pewnego dnia znikła z tego świata, jak biblijny Enoch i uleciała w upragnione, wysnione nadziemskie rejony, gdzie „wszyscy są sobie równi i mówią na tym samym języku”.

Mira Lampe-sławińska.

(*) Ile to kosztuje — po lotewsku.

NA WEEK-ENDY I WAKACJE

przyjmuje miłych gości

RANCHO BOA ESPERANÇA, SÃO JOÃO NOVO

1.000 m. n.p. morza, źródła wody mineralnej, uroczne spacer, konie pod wierzch, owoce.

Apartamenty z wodą bieżącą i światłem elektrycznym, kuchnia polska i jarska. CENY UMIARKOWANE.

Odległość od São Paulo — koleją 1 i ½ godz. Estr. Sorocabana lub drogą kołową 45 km. przez Osasco, Itapevi, Santa Rita, São João Novo.

Informacje telefonicznie: tel.: 35-5584 lub
Caixa Postal, 6335, São Paulo.

17

Stary Garcia siedł na ostatku wyprzedzany przez towarzyszy o dobrych kilkadziesiąt kroków. Słyszał od czasu do czasu głosy ich na ścieżynie leśnej, którą wracali z polowania i dobiegał go stuk fakuonu, którym idący na czele Mula, João, ciął zagradzając drogę takuary. João nie miał dziś zresztą dużo roboty, gdyż ścieżka była ostatnio dość często uczęszczana i dobrze przetarta. W miejscach, w których gęściej rosły takuary, w pobliżu rzeki robiła nawet wrażenie wąskiego korytarza, rozchodzącego się nieco szerzej w zaroślach wielkich, kolczastych paproci xaxim.

Najcięższym odcinkiem drogi był właśnie ten, którym schodzili, stromy stok góry o dużej pochyłości i kamenistym gruncie. Takuary rosły tu rzadko ustępując miejsca gęsto rozsianym wielkim drzewom. Czasami tylko jakaś mała roślina, pnąc lub paprotka, oplatała

pewnego rodzaju ulgi: dzisiejsza anta poszła przynajmniej nie raniona. Polowanie też nie można powiedzieć, żeby się zupełnie nie udało — tateta niosą. Zawsze coś. I chociaż wybrali się specjalnie na anty nie ma się czym przejmować. Śmiech i żarty skończą się najdalej do następnego polowania. Tylko ten dokuczliwy ból głowy, noc należyście nie przespana i niekiedy nudności sprawiają, że myśli mu się płaczą i potykają podobnie jak kroki.

A więc wczoraj, za jego namową, wybrali się na to polowanie. Była sobota, praca w tartaku kończyła się w południe. Przygotowania nie trwały długo. Juca, João i Garcia przygotowali po kilka naboń do swoich odtłocówek. Antonio nie potrzebował się tym kłopotać — nosił starą kapiszonówkę, odtłocówki jeszcze się nie dorobił. Koledzy wystali go do sklepu po butelkę wódki trzcino-

li jednak w dalszym ciągu na tropie, mając nadzieję, że zwierzyna przebiegnie tym samym śladem. Nagonka, zakręciwszy kilka kótek na szczycie góry, spuściła się jednak w stronę strumyka, płynącego równolegle do ścieżki.

Było dopiero z południa i bardzo gorąco, jak zwykle w styczniu. Myśliwi ruszyli biegiem w stronę strumienia wiedząc, że o tej porze zmęczone tatety po napotkaniu wody zatrzymują się dla ochłody i wypoczynku. Są wtedy naprawdę groźne dla psów.

Znajdowali się w odległości około dwustu metrów od strumienia, gdy doszły ich odgłosy zażartej walki. Kiedy jednak zbliżyli się bardziej walka ustała i psy ruszyły dalej. Widocznie zwierzyna poczuła ludzi.

Na miejscu walki myśliwi zastali już tylko zmaconą wodę i jednego psa, który ostatnim wysiłkiem wywłókł się na

JEST JESZCZE LAS...

JERZY SEMENIUK

korzonkami kamienie w poszukiwaniu ziemi by napotkawszy nieco ożywczych soków wystrzelić w górę cienkim anemicznym badylem. Było to jedyne poszyście tego lasu. Można się było dziwić patrząc na olbrzymie drzewa — robiły wrażenie wyrastających wprost ze skały. A jednak miały dość siły, żeby się spleść konarami u góry, nie przepuszczając słońca i zagłuszyć wszystkie inne rośliny.

Puszczą była skąpa w poezję i nieprzyjemna w zetknięciu. Idąc trzeba było stąpać ostrożnie: upaść znaczyło niemal napewno skreślić lub połamać nogi, w najlepszym wypadku boleśnie się potłuc.

— Nie ma to jak nasz Garcia!... — pokpiwał od czasu do czasu João. — On by dziś i wołu dał radę.

Słyszając to Juca i Antonio wybuchali złośliwym rechotem. Oglądali się przy tym do tyłu, co sprawiało im pewne trudności, ponieważ nieśli na drągu ubitego tateta.

A Garcia gotów był żałować wycieczki, na którą sam przecież namówił tych robotników z tartaku, w którym także pracował. Cały czas się z niego nabijali i niesłusznie. Każdemu się może zdarzyć coś podobnego. Ot, choćby taki João! Natrąsa się dziś z Garciii nawzięcej, a zapomni jak zaledwie kilka tygodni temu, znajdując się "no trago", strzelił do anty grubym śrutem. Zareczał potem, że nabój był kulowy, ale w parę dni później, gdy antę odkryły już sępy, koledzy przez wrodzoną ludzką przekorę sprawdzili, że została raniona śrutem.

Na to wspomnienie Garcia doznawał

wej, żeby było czym "oblać" zwierzynę w razie udanego polowania.

Psy już rozumiały szcęk sprawdzanej broni. Z radosnym skomieniem kręciły się koło domów. Niebawem też myśliwi zaczęli wiązać je na smyczach. Wyruszone.

Juca postanowił, a inni się z tym milcząco zgodzili, żeby wykorzystać czas pozostający do wieczora na polowanie z psami. Jako teren polowania obrano szczyt góry, z której teraz schodzili. Potem mieli zamiar zejść w dolinę rzeki Engano i tam przenocować. W miejscu tym, w którym rzeka tworzyła ogromny zakręt podobny do podkowy, aż do samego jej ujścia do Iguaçu nie było mieszkańców. Las rósł nieprzebytą gęstwiną pełen zwierzyny, która czasem tylko, odsuwając się od ludzi, zaszywała się głębiej w mateczniki.

Szczęście zdawało się sprzyjać tym razem. Zaledwie weszli na szczyt góry, gdy psy, szarpiąc sznury, dały znać, że zwierzyna przebywała tu niedawno. Myśliwi także mimo trwającej od dłuższego czasu suszy, która utrudnia rozpoznawanie tropów, zauważyli ślady. Po ilości tych śladów i zrytym tu i ówdzie gruncie, można się było łatwo domyśleć, że gościło tu całe stado dzikich świni.

Psy spuszczone z smyczy. Rzuciły się natychmiast w las. Myśliwi wstrzymali oddech nad słuchując. Nie trwało to długo.

— Jest — zawołał naraz Juca.

Okrzyk ten był zresztą zbędny, gdyż pozostali myśliwi doskonale słyszeli jak psy podniosły zwierzynę z dziennego legowiska i popędziły ją z jazgotem. Sta-

kamienie. Dogorywał. Dzik ciął go jak brzytwą w kark. Z przerwanej tętnicy krew uciekała ciurkiem.

Antonio zaklął szpetnie. Był to jego najlepszy pies, chociaż nieraz w chwilach walki zbyt zacięty. Nie było jednak czasu na zajmowanie się podobnymi sprawami. Tatety zatrzymały się znowu; dochodził stamtąd wzmożony jazgot. Trzeba było biec na pomoc pozostałym psom.

Tym razem okazała się to entocada. Psy stały kołem nad jamą, do której pochowały się tatety. Z nory dochodziło groźne potrzaskiwanie zębów. Sądząc z mocy owego potrzaskiwania wejścia pilnował olbrzymi odyniec.

Antonio nadbiegł pierwszy. Od razu zorientował się w sytuacji. Wydobył z worka niewielką latarkę elektryczną i oświetlił norę. Ujrzał nawet niegłęboko parę rozpalonych ślepi. Nie namyślając się wiele zmierzzył ze swej kapiszonówki i pociągnął za cyngiel. Rozległ się tylko metaliczny trzask. Niewypał. Tymczasem nadbiegli pozostali myśliwi.

— João, — wrzasnął Antonio — dawaj twoją pojedynek!

João domyślił się od razu co się stało i szybko podał strzelbę przyjacielowi.

— Gruby śrut! — zdążył krzyknąć.

Było już jednak za późno. Gruchnął strzał i trzaskanie zębów, podobne do dźwięków drewnianej kołatki, ucichło.

— Nie pchajcie rąk. Tam się skryło całe stado — powiedział Garcia, widząc, że szukają sposobu, by wyciągnąć zabitego zwierza.

— Ale gdzie!... — odparł już nieco spokojniej Antonio. — Posłuchaj jak tam cicho.

— To nic. Widziałem ślady na ścieżce. Siedzi ich w norze co najmniej sześćoro.

— I ja widziałem — potwierdził Juca.

— W takim razie szukajcie zapasowej nory. Musi być w pobliżu. Ja tu poczekam. Mogą wrócić — rzucał urywane zdania Antonio.

— Zostaw mi strzelbę — dodał spozstrzegłszy, że João zabiera się do odejścia.

Myśliwi rozbiegli się, a Antonio został wpatrzony czujnie w ciemną czelusć jamy.

Niewiele czasu minęło, a zeszli się z powrotem.

— Uciekły!... — stwierdził João. — Zapasową norę.

— Daleko?

— Będzie ze trzydzieści metrów. Na mokrej ziemi widać świeże ślady. Kilka sztuk.

— No, trudno, jednego mamy. Bierzemy go! — powiedział Antonio.

Zaczął poszerzać fakonem norę. W końcu opierając się lewą ręką o krawędź jamy — prawą, nie bez trudu, dosięgnął zwierzaka.

— A, bestia!... — mruknął. — Ależ ma ostre zęby! Ciągnąłem za ryj i mało sobie palców nie pokaleczyłem. Duży. Zapewne przodownik stada.

Siedli teraz wszyscy koło zdobyczy, odpoczywali, a ponieważ należało uczcić powodzenie, więc każdy upił po łyku wódki, a Garcia — trzy, jako że pozostawał zawsze z butelką w przyjacielskich stosunkach.

O dalszym polowaniu w tym dniu nie mogło być mowy: psy się bardzo zmęczyły, a dwa były w dodatku — wprawdzie lekko — pokaleczone. Pokładły się i ziewając czekały na odprawę. Antonio wyciągnął właśnie zza pasa krótki nóż, żeby wypatroszyć tateta i dać psom co im się należało, ale wstrzymał się — wytrzeszcząwszy oczy przypatrywał się kolegom.

— Co tobie? — zawołał, widząc krew na kołnierzu Juca.

— Nhá-pindá zaczęła mnie kolcem za ucho.

— A ty gdzie tak rozwalisz koszulę?

Antonio teraz dopiero zauważył, że podarł koszulę na plecach od góry do dołu.

— Do diabła! — zaklął. — Nowa koszula...

— Nie martw się, — pocieszała go wszyscy naraz — to nie boli!

Okazało się, że każdy poniósł mniejsze lub większe obrażenia. Nawet Garcia, który nigdy nie lubił się spieszyć, rozcierał nogę stłuczoną o kamienie.

Zdawało się, że upłynęło niewiele czasu od chwili, gdy usiedli (zdążyli jedynie wypalić po papierosie zawiniętym w liść kukurydzany), a już się słońce przechyliło na zachodnią stronę nieba. Musieli się pospieszyć, żeby zejść przed zmierzchem w dolinę i poszukać robaków, gdyż mieli zamiar w nocy łowić ryby.

Rzeka, skręcając raptownie, tworzyła w tym miejscu ładną i głęboką zatokę, mającą nie więcej, niż 20-25 metrów szerokości. Ale według zapewnień myśliwych była bardzo rybna. Można tu było złowić niekiedy dwukilowego pin-tada. Był to również ulubiony wodopój ant. Tropy ich wyżyłbiły na stromych brzegach głębokie ścieżki. Można je tam łatwo ustrzelić. Tak przynajmniej zaręczał stary Garcia, który po kolacji z pieczeni tateta, zakropionej pingą, stał się wyjątkowo rozmowny i odważny. Koledzy poszli szukać robaków, a on pozostał w obozie i zaopiekował się butelką.

Słabo sobie przypominał co się działo w nocy. Pamiętał tylko, że śpiewał i pohukiwał, dziwiąc się dlaczego ryby nie brały ani jemu, ani towarzyszom. A przecież, jak mawiał stary Amaro, wesołe usposobienie pomaga w łowieniu ryb.

Gdzieś koło północy rozplątywał właśnie linkę, gdy usłyszał głośny plusk na przeciwnym brzegu.

— Co za głupie żarty! — krzyknął przekonany, że ktoś umyślnie mu płoszy ryby.

Nie mógł zrozumieć dlaczego koledzy wybuchnęli takim potokiem przekleństw.

O świcie poczuł się okropnie zmęczony. Miał szaloną ochotę położyć się i chrapnąć, ale już nie wypadało. João przeprawił się na drugi brzeg i oglądał ślady spłoszonej w nocy anty.

— Nie przestraszyła się specjalnie — powiedział po powrocie — psy ją dogonią. Napędzą ją do wody. Rozstawcie się na przesmykach powyżej zatoki, a ja puszczę psy.

Wtedy Garcia zrozumiał, że to on spłoszył w nocy antę i chcąc naprawić błąd wziął strzelbę i wybrał się aż na trzeci, najdalszy przesmyk. Dzień wstawał raptownie i robiło się widno, ale jemu głowa ciążyła coraz bardziej.

Nie wiedział kiedy się położył.

Obudziło go gwałtowne szarpanie za ramię. Słońce już musiało zawędrować wysoko, gdyż dobrze już przypiekało.

— Co się stało? — zapytał, przytomniejąc.

Spojrzał po wzburzonych twarzach przyjaciół i nagle przypomniał sobie gdzie był.

— Zabiliście?

— Dobre sobie! — zawołali. — Anta przez niego niemal przeszła, a on się pyta czyśmy zabili!

Rzeczywiście anta przebiegła niecałe trzy metry od niego. Krzaki, o które się otarła po wyjściu z rzeki, były jeszcze mokre. Nie zauważyła niefortunnego myśliwca, ponieważ leżał za krzaczkami. Psy zatrzymały się koło myśliwych niepewne, czy nie każą ścigać dalej zwierzyny. Ale było już po dziewiątej i należało wracać, gdyż upolowany wczoraj tateto mógł się zepsuć.

Teraz Garcia, idąc za towarzyszami, przypominał sobie z trudem szczegóły wczorajszego dnia, a raczej nocy. Z dnia

bowiem pamiętał wszystko dobrze, ale tylko do chwili, gdy z zabitym tatetem zeszli nad rzekę. Coś mu się majaczyło: piosenki, pohukiwania, ciemna toń rzeki...

No, koledzy mieli rację — przez niego uszła anta. Niech sobie jeszcze trochę pokpią — na zdrowie. Dobrze jeszcze, że nie wracają z próżnymi rękami. Niewiele tego wprawdzie — tateto ważący po wypatroszeniu nie więcej, niż trzydzieści kilo — Bogu dzięki i za to. Zeszłej niedzieli cały dzień chodzili po lesie, wrócili wieczorem z wygłodzonymi psami i sami głodni jak psy, nawet świeżego śladu zwierzyny nie widzieli.

Construções Mecânicas Rozenowicz Ltda.

Transportadores
Alimentadores
Elevadores
Peneiras
Moinhos de martelos
Estruturas metálicas

Rua da Balsa, 10 PIQUERI
Cx. Postal, 11.912 — SÃO PAULO

— Coraz ciężiej żyć! — pomyślał. — Dawniej lepiej było.

Wspominał czasy, gdy mieszkał jeszcze w swoim sitio na ziemiach rządowych. Niecałe dziesięć lat, a już tyle zmian. Wtedy co roku wyrąbywało się po trochu las pod kukurydzę i mandiókę, bo kto by się tam trudził czyszczeniem pola z chwastów, kiedy można trochę świeżego lasu wyrąbać. Zbiory na nowinie pewniejsze, a zaoszczędzony czas poświęcało się na polowanie. Aż w końcu zaczęło braknąć lasu. Trzeba było zabrać się na dobre do uprawy ziemi. Na to Garcia odpowiedział starą kaboklowską sentencją: "Não vale a pena" — nie warto zachodu i poszedł jako robotnik do tartaku.

Zdała dobiegły okrzyki i Garcia przyspieszył chwiejnego kroku. Ścieżka zstępowała na równy teren przyrzecznej doliny. Na myśl, że cała prawie droga została poza nim Garcia doznawał ogromnej ulgi. Oczyma wyobraźni ujrzał radość dzieci, gdy im pokaże kawał upolowanego mięsa. Marzył tylko o jednym, żeby czym prędzej położyć się spać.

Towarzysze już się przeprawili po kamieniach płytkiej w tym miejscu rzeki i czekali na niego. Byli niemal w domu.

Garcia zanim zstąpił do wody obejrzał się jeszcze w stronę góry, z której zeszli.

— Dobrze, że jeszcze jest las — pomyślał.

Jerzy Semeniuk

Zamiast felietonu

Kochajmy się jak bracia...

ROMAN ŚLADOWSKI

Do kawiarni prawie nie chodzę. Ale niedawno dałem się zaciągnąć znajomemu. Usiedliśmy przy stoliku.

— Dzień dobry, panie starosto.

— Kłaniam się, pani starościno!

— Sługa pana redaktora!

— Moje uszanowanie panu prezesowi.

I właśnie dosiadł się do nas mais um rodak. Od tego się zaczęło.

Mówiliśmy o wyjeździe na week-end do Guarujá, gdzie każdy z nas doszedł już do mniejszego lub większego apartamentu, z którego korzysta w czasie pobytu w tym cichym, spokojnym, odległym od złych języków ustroniu. Przebiera się, gdy przyjeżdża i zależnie od pory i pogody idzie albo na plażę albo do kasyna, gdzie tyle mówi się o rodakach...

Wtem jeden z rodaków, pan Krogulec, którego nos był rzeczywiście doskonale dobrany do nazwiska lub nazwisko do nosa odezwał się:

— Widzieliście Prostolinijnego? Przechodził przed chwilą ulicą.

— Rzadko się spotyka takich jak Prostolinijny. Co to za charakter kryształowy, co za mąż i ojciec dzieciom, jaka uczciwość w interesach! Jeszcze w kraju znano go z jego działalności społecznej, a tu założył podobno przytułek dla nieślubnych dzieci kolonii polskiej.

— Istotnie — orzekli wszyscy chórem — to człowiek rzadkich zalet, wyjątkowy, takich dziś mało.

Sądziłem, że po wygłoszeniu tej krótkiej mowy pogrzebowej — sprawa została zamknięta. Prostolinijny ma blisko 70 lat — myślałem — rodak, Polak z krwi i kości, najwyższy czas, żeby ktoś powiedział o nim coś dobrego. Byłem zadowolony, że dano mu spokój tak według mnie zasłużony, gdy nagle:

— Nie można powiedzieć, żeby był taki całkiem koszer — odezwał się mój sąsiad z lewej. — Wiem, że jeszcze na uchodźstwie w Rumunii prowadził jakieś trefne sprawy, a tu widuje się go z jakąś rudą Żydówką w Guarujá sam na sam. Więcej nie mogę powiedzieć, ale resztę każdy może sobie dośpiewać.

— E... — odezwał się starosta (nigdy nim już nie będzie, choćby pękł, ale wszyscy go nadal tytułują starostą) — co też pan mówi... To porządny chłop, znam go, bo mieszkał w moim powiecie. Co za dusza, co za gest!... Ile dawał na różne komitety, Lopy, Copy i Popy to trudno sobie wyobrazić. Kolega mój, nacelnik Izby Skarbowej, zawsze mówił, że on zawsze pierwszy płacił podatki, jak Boga kocham. I tylko raz, jeszcze w młodym wieku, chciał dać łapówkę i

miał o to dochodzenie. Ale to stara historia

— Wielka sztuka, niech dziś to pokaże! — przerwał cienkim głosikiem pan Niepocziwski, były arystokrata (dziś się zdemokratyzował), któremu z całych splendorów: tytułów i fortuny — pozostał jedynie sposób wymawiania litery r jak g. — Pgoszę panów, wiemy dobrze jak tacy dogobkiewiczze płacili w Polsce podatki i dawali na dobrogoczyne cele gózne sumki. To jeden z tych, którzy dogabiali się majątku kombinacjami. Ale miał szczęście w życiu i dlatego wszystko mu szło pgosto i gówno.

— Trzeba jednak przyznać, że jest wzorowym ojcem — powiedziałem — Widuję go w niedzielę jak pcha wózek, spotykam u B. jak nadaje paczki dla żony w Kraju i dzieci w Rumunii. Mam wrażenie, że odejmuje sobie od ust, żeby pomóc rodzinie.

— Dla pucu, panie, dla pucu — odezwał się doktor Zabijewski. — Posyła paczki do kraju, a tu żyje z bogatą wdową, Brazylijką, której mimo podeszłego wieku machnął bękarta. Stąd wózek, panie, stąd wózek i nie zapłacony od dziesięciu lat. Skąd wiem? Mój szwagier te wózki robi i rodakom daje na kredyt.

— No, to jego prywatna sprawa — powiedział jeden z panów, który resztkami argumentów chciał bronić sympatycznego rodaka. — Chłop ma trzon, ma stos pacierzowy, nie wyparł się rodziny, pomaga...

— Co, trzon, stos? — wybuchnął były starosta. — Panie, też to łajdak pierwszej klasy, szuja i złodziej. Kupuje stare lodówki i sprzedaje je potem jako nowe. Niedawno kupił sześć wagonów swe-trów na Bon Retiro na 60 dni "fora mès" i sprzedał od razu za gotówkę, zarabiając majątek; teraz ma dochodzenie. Poza tym — nachylił się nad stołem byśmy dobrze słyszeli — politycznie też niepewny. Widziałem go niedawno jak przechodził ulicą, na której mieści się konsulat Polski Ludowej.

— A, to już wiem, — dorzucił jeden z rodaków. — To pewnie ten sam, którego syn siedział przed wojną w kryminale, a żona puszczała się jeszcze za czasów okupacji.

— Dobrze, — zapytałem — czy w całej jego rodzinie nie ma ani jednego porządnego człowieka?

— Ależ oczywiście, — odparł jeden z rozmówców, najsympatyczniejszy ze wszystkich. — Miał on brata bliźniaka. Był to chłopak z charakterem, prawy i uczciwy. Ale żył krótko, niecały roczek.

A ten to drań, kości mu połamać, bydlakowi — to zakała naszej kolonii.

I wyszli, żli na siebie, na innych, obcych i swoich.

Poszedłem na obiad. Byłem zmęczony i smutny.

Stół, jak zwykle, nakryty; żona czekała.

— Dawaj wódkę! — wrzasnąłem od progu.

Przerażona połowica wyjęła "czystą", sprowadzoną przez jednego z rodaków "z naszych polskich łańów", a znając moje wariackie nastroje nie pytała już o powód.

Trąciłem się z nią kieliszkiem i obłąkańczym głosem zawołałem:

— Kochajmy się jak bracia!...

Żona popatrzyła na mnie zdziwionym i nieco wystraszoną wzrokiem. Zasiadliśmy do stołu.

ROMAN ŚLADOWSKI

KĄCIK JĘZYKOZNAWCZY

A M E N

Seweryn A. Hartman

Wyraz *amen*, powtarzany w końcu modlitwy, należy do najbardziej tajemniczych i niezrozumiałych. Słownik wyrazów obcych i encyklopedie twierdzą, że jest on pochodzenia hebrajskiego lub chaldejskiego i znaczy: "zaiste, niech się tak stanie!"

Zupełnie przypadkowo, przeglądając słownik języka staroegipskiego, dowiedziałem się, że *amen* jest wyrazem egipskim i oznacza tyle co ojciec lub przyjdź ojciec!

Co więcej *Amen* był najbardziej czczonym bogiem w Egipcie, ojcem bogów. Najnowsze badania religioznawcze wykazały, że na starożytnym Wschodzie wszystkie religie przechodziły ewolucję od monoteizmu do politeizmu. Najpierw wierzono tylko w jednego Boga, a potem przeważnie ze względów polityczno-społecznych niebo zaczęło się zaludniać wieloma bóstwami. Kapłani, zarówno w Chaldej, jak i w Egipcie, zachowali jednak wiarę w jedynego Boga; ta wiara, otoczona nimbem tajemniczości, nie była dostępna dla laików.

Imię *Amena* Żydzi, Grecy i Rzymianie przekreśli na *Amon*, *Ammon*, *Amun* i *Amn* i pod tymi imionami bóg egipski znany był na całym Wschodzie. Stawiano mu świątynie w Helladzie i w Rzymie. Wyobrażany był często z dziwnym symbolem: krzyżem, zakończonym u góry pętlą. Być może wywodzi się z niego kult Mitry.

Kapłani *Amena* rządili wszechwładnie w Egipcie. Posiadali wpływ na faraona i oni to, właściwie, kierowali państwem. Około r. 1050 przed n. e. spośród nich wyłoniona została nowa XXI dynastia. Już przed tym wydarzeniem wszyscy bez wyjątku faraonowie dodawali do swego imienia imię Boga *Amena*: *Mer-Amen-Ramessu* (*Ramzes*), *Amen-Hotep*, *Tuthank-Amen* itp.

(Dokończenie na stronie 18-ej)

STRONICA CZYTELNIKA

Z moich przeżyć i obserwacji

JÓZEF GRABIAS

II

Wreszcie blisko 15 lat temu, gdy miałem 55 lat, zmieniły się nieco warunki mojego życia. Nadeszły przeżycia innego rodzaju.

Już poprzednio zięć z córką utworzyli osobne gospodarstwo, zabierając część inwentarza żywego i martwego. Gdy i syn zapragnął pójść w ich ślady — zdobywać i urządzać się samodzielnie — oddałem mu prawie wszystek inwentarz żywy i nieco martwego, ułatwiając mu tym zagospodarowanie się. Zostaliśmy na gospodarce we dwoje z żoną. Że stanęliśmy w obliczu ponownego dorabiania się, (a byliśmy prawie bez pieniędzy) — nie przejmowałem się zbytnio. Poczułem się znacznie swobodniejszy uwalniając się w znacznym stopniu od obowiązków rodzinnych. Mogłem już więcej uwagi poświęcić na zagadnienia społeczne zawsze mnie żywo interesujące.

Nigdy się nie entuzjazmowałem dzisiejszym zwiariowanym postępowaniem, który wmówił w siebie i w swoich wyznawców, że najważniejszy w życiu jest dobrobyt, a motorem — rywalizacja jednostkowa i na skalę światową.

Uwagę skierowałem głównie na wpływ różnego rodzaju warunków na człowieka, na podpatrywanie jego ewolucji pod ich wpływem. Chodziło mi też o to, jakich trzeba warunków, żeby oddziaływały dodatnio i podciągały człowieka wzwyż w kierunku harmonijnego rozwoju wszystkich sił człowieka — fizycznych, umysłowych, moralnych, jego psychiki, pojęć itd.

Jeżeli wiedza ludzka doszła już do tego, że jak się zdaje będzie można podróżować na księżyc i na Marsa to dlaczego nie potrafiła udoskonalić człowieka, żeby był lepszy, osiągnął pełną godność Człowieczeństwa, nie zaś brnął w cywilizacyjne barbarzyństwo.

Wielki już czas, żeby ludzkość się ocknęła i zawróciła z błędnej drogi, a zdolności swoje zwróciła do odrobienia tego co zostało zaniedbane.

Nie mogę się pogodzić z tym, ażeby zastosowanie coraz bardziej ulepszonych maszyn w przemyśle i rolnictwie było koniecznością życiową. Postęp spowodowany tu jest z jednej strony chęcią uzyskania łatwych zysków, a z drugiej — wzmagającą się konkurencją. System maszynowy posunięty do przesady służy chciwości, lenistwu, więcej, niż rzeczywistym potrzebom, stwarzając sztuczne warunki życia, które pod wieloma względami ujemnie wpływają na człowieka.

Wiedząc o tym, że wycucia, przekonania i poglądy zależne są od jakości naszych przeżyć postanowiłem te przeżycia poszerzyć i pogłębić, poprzez doświadcze-

niami i obserwacjami i za ich pośrednictwem ugruntować lub zmodyfikować swoje pojęcia.

Gdy syn poszedł na własne gospodarstwo zabierając inwentarz miałem jeszcze tyle pieniędzy, że kupiłem konia, uprząż i nieco drobniejszych, a koniecznych rzeczy. Wóz, pług, sieczkarnię, choć nie nowe, miałem.

Otóż postanowiłem przy pomocy tych narzędzi (nieco później nabyłem konny opielacz) i konia dojść do nowego dorobku, nie posługując się najmem, sam wykonując wszystkie prace.

A że już wówczas zaznaczała się lekka tendencja podnoszenia cen, którą uważałem za chorobę społeczną, powziąłem zamiar nie poddawania się jej. Sprzedawałem swoje produkty, które odwoziłem raz w tygodniu do Kurytyby, po cenach niższych, niż rynkowe.

Kalkulacja wykazała, że mogłem przyjąć cenę niższą w przybliżeniu o jedną czwartą, niż obowiązującą w detalu. Często oddawałem produkt nawet w połowie ceny. Zdarzało się też nierzadko, gdy miałem słaby urodzaj lub gdy na dany produkt ceny w mieście mocno spadły, że stosowałem się do cen rynkowych.

Okoliczności nie sprzyjały zbytnio wykonaniu moich zadań, choćby dlatego, że żona była w dalszym ciągu słaba ze skłonnością do anemii, nie miała wielkiej wytrzymałości, że słaba gleba wymagała obfitego nawożenia i w końcu że nie byłem już młody. Zacząłem ten okres w moim życiu mając 55 lat i trwał on piętnaście lat, aż do ukończenia przeze mnie siedemdziesięciu i pół lat. Żona jest o pół roku młodsza ode mnie.

Po upływie blisko siedmiu lat, mając na początku dwie krowy, dochowałem się z przychówku dalszych czterech. W międzyczasie nabyłem dwa nowe czterokołowe wozy jednokonne, nową sieczkarnię i bronę oraz wspomniany opielacz.

Zabrałem się do remontu budynków i odnawiania pól, których mam na moim terenie blisko dwa kilometry.

Liczyłem wówczas, że za rok lub dwa będę mógł obniżyć cenę swoich produktów do połowy cen rynkowych. Ale los chciał inaczej...

Oto zachorował syn. Poszedł do szpitala. Lekarze wycięli mu jedną nerkę. Wiadomo — syn nie miał pieniędzy na opłacenie lekarzy, będąc początkującym gospodarzem. Trzeba było spełnić swoją powinność. Gdy syn wychodził ze szpitala lekarze zapowiedzieli mu, żeby przez rok nie zabierał się do roboty, a tu sześcioro małych dzieci i ziemia jeszcze nie wyplacona... Musiał znowu

dziadek wykonać obowiązek w stosunku do wnuków. Te i inne okoliczności spowodowały, że przez dobre kilka lat nie mogłem obniżyć cen na swe produkty. Zniżka o jedną czwartą utrzymywała się pomimo wszystko.

Wielu dziwiło się pociągnięciu. Zapewne, że ot... dziwaczne z wiekiem. (Zapewne i czytelnik tak pomyśli).

A ja to robiłem dlatego, żeby wysondować i zapoznać się praktycznie z wszelkimi możliwościami na jakie może się zdobyć człowiek. Te piętnaście lat przeżyć i doświadczeń utwierdziły mnie w przekonaniu, że powinniśmy lepiej znać drzemające w nas siły, poddać je odpowiednim rygorom, rozwinąć, a wówczas zdołamy oprzeć na nich egzystencję naszą i przyszłych pokoleń z daleko większą pewnością, niż dzisiejszy postęp, który stosuje coraz to bardziej udoskonalone maszyny podczas, gdy człowiek nie tylko stanął w procesie rozwojowym, lecz karleje w zaniedbaniu. A gdyby los pozbawił go maszyn stał by się niedołęgą.

D. c. n.

STANISŁAW OSSOWIECKI

(Soc. Fin. Barros-Handley)

Sprzedaż nieruchomości

Orientacja fachowa

SAO PAULO, rua Barão de Itapetininga, 224, 1.º — Fone: 32-3131
e residência 80-7045

A M E N

(Dokończenie ze str. 17-ej)

Sądzić należy, że wyraz *amen* trafił do modlitwy chrześcijańskiej tą właśnie drogą — z Egiptu. W Aleksandrii w początkach chrześcijaństwa istniała olbrzymia gmina chrześcijańska. Niektórzy uczeni uważają ją nawet za największą nie tylko na Wschodzie ale w ogóle na obszarze całego ówczesnego cywilizowanego świata.

Nie jest to jakiś nic nie znaczący dodatek do modlitwy. Wymawiając *amen* wierzący zwraca się do Boga, prosząc, aby był z nim, aby przyszedł do niego. Przyjdź, Ojcze!

SŁOWO

Seweryn A. Hartman

Przybliż się ci powiem,

powiem ci słowo.

Słowo to jak szum wiatru w górach,

jak krzyk sępa, jak nawałnica

orząca niebo pługami błyskawic,

jak zapach kwiatów w poranek letni.

Wielkie słowo: wolność!

MOJE PRZYGODY W BRAZYLII

STEFAN POCHWATKA

II.

Bardzo lubiłem herbatę brazylijską i wypilem niejedną kufę szimaronu, gdy w pierwszym roku pobytu w Brazylii odwiedziłem pewną kolonię polską w Rio Grande do Sul. Przy pogawędce krążyła ta kufa z rąk do rąk całe niedzielne popołudnie. Nie przypuszczałem jednak, że będę pracował przy zbiorze herva mate.

W r. 1933 w pogoni za zarobkiem zapuściłem się w dzikie jeszcze wówczas, nieznane lasy, położone w rozległym municypium Santa Rosa. Przepracowałem tam kilka miesięcy z inżynierami, którzy w głębi tej nieprzystępnej puszczy wykonywali pomiary ziemi. Któżby pomyślał, że za kilka lat tak się zaludnią te tereny i nawet tylu polskich kolonistów tam się osiedli.

Jako jedyny Polak znajdowałem się w gromadzie na wpół dzikich kabokli, dla których imię moje i nazwisko brzmiało: Polaco.

Puszcza, jak powiadam, była dzika, tak jak i moje życie, z czym mi się było trudno pogodzić. Jednak przydało mi się to w końcu, bo w tym otoczeniu, nie słysząc polskiego języka, nauczyłem się mówić po portugalsku.

Ci synowie leśnych gauczów to urodzeni poeci i kompozytorzy. Chcesz piosenkę — masz ją na poczekaniu. Ułożyli nawet pieśń na moją cześć. Kończyła się refrenem: "Polaco não tem ranchinho".

Najważniejszym zajęciem było przecinanie fakonami ścieżek, żeby inżynierowie mogli wygodnie chodzić i robić pomiary.

Podarłem koszulę, spodnie i trzewiki na kolczastych krzakach bambu, a nawet i skórę na nogach, a wszystko dlatego, że nie umiałem poruszać się po lesie. W niektórych krytycznych chwilach przychodziło mi nawet do głowy, że jestem w zielonym piekle.

A było to tak, że spało się na gołej ziemi, bo co parę dni trzeba było zmieniać *acampamento*, a na sklecenie szalasu nie było czasu. Łóżkiem moim i posłaniem był koc. Po kolacji rozpalałem ognisko, okręcałem się w ten koc i układałem jak mogłem najwygodniej do snu koło ognia.

W tym okresie, w maju, było dosyć zimno i częste mrozy. Więc gdy mi jeden bok zmarzł przewracałem się na drugi. I tak przewracałem się z boku na bok całą noc, aż do rana. Rano pijąc kawę szczykałem zębami; bardzo mi to ułatwiałały spożywanie chleba. Po śniadaniu trzeba było biegać cały dzień po lesie. Oblady, jak mi mówił rozsądnie

przygodny kolega, jada się tylko w Porto Alegre w restauracji na rua dos Andradas.

Dużo ciekawych rzeczy widziałem w tej zielonej i ciemnej puszczy. Ścieżki wydeptane przez *bugrów*, lianę cipo co się z niej wodę pije i wielkie różnych kształtów kamienie. Niejeden raz zleciałem z takiego kamienia i porządnie się potłukłem. Mówię że zleciałem, bo człowiek leci w powietrzu nie do góry tylko na dół, grzmotnie w ziemię, czy kamień, potem stęknie i maca się gdzie go boli.

W końcu dalsze przebywanie w lesie tak mi obrzydło, że postanowiłem się urwać. A więc żegnajcie koledzy. Dostyc mam waszych pieśni przy akompaniamentie stukania kijem o kij, pójdę sobie gdzie oczy poniosą.

Dowiedziałem się, że niedaleko o dwa dni drogi pieszo, znajduje się kolonia polska Guarani. Poszedłem tam. Ponieważ na obronę nie miałem nawet scyzoryka, a serce pod gardłem, więc szło mi się dosyć szybko.

Wieczorem, gdy się już dobrze ściemniło, doszedłem do jakiegoś osiedla ludzkiego. Okazało się że to byli koloniści niemieccy. Gospodarz Niemiec pozwolił mi się przespać w czystym śpichrzu, gdzie nie było nawet słomy kukurydzaniej. Oszczędny był widać bardzo, bo kolacji mi nie dał, ale garnuszka wody nie pożałował.

Rano wstałem lekki i z pustym żołądkiem udałem się w dalszą drogę. W lesie znalazłem *kokinie* i pożywiłem się. Słońce już dobrze chyliło się ku zachodowi, a ja ciągle wędrowałem przez las. Żadnych osad ludzkich. Nagle skóra na mnie ścierpła. Zza zakrętu na tle zielonej ściany lasu wyłoniła się gromada Indian. Od razu poznałem, że to dzicy ludzie. Szli powoli, z powagą, majestatycznie. W rękach nieśli dzidy i łuki ze strzałami. Mężczyźni byli ubrani w koszule i spodnie. Kobiety miały na sobie tylko krótkie spódniczki i małe dzieci na plecach. Kobiety szły z opuszczonymi głowami, żadna na mnie nie spojrzała. Powiedziałem: — Boa tarde! Nie odpowiedziały. Mężczyźni skierowali na mnie swe ciemne oczy. Wzrok ich był, tak mi się przynajmniej zdawało, przenikliwy i wymowny.

Serce mi się ścisnęło. Żeby tak który z was znalazł się w podobnej sytuacji chciałbym wiedzieć jakby się poczuł.

Po jakimś czasie wyczułem intuicją, że się oddalili. Po chwili obejrzałem się. Tych dzikich leśnych ludzi już nie było.

Odetchnąłem z ulgą. Pot mi się lał z czoła. Coprawda było dosyć ciepło i pilno mi było do Guarani.

Zapadła już ciemna noc kiedy znalazłem się w Esquina u znajomego wędziarza Stefana Grabskiego. I tam przenocowałem.

Grabski poinformował mnie, że tu pracy wszędzie dosyć i rzeczywiście znalazłem wkrótce robotę przy obcinaniu herva mate, u jednego z polskich kolonistów. Rośnie ci to herva mate w polu niby grusze czy jabłonie. Wdrapujesz się na drzewo i obcinasz fakonem niektóre gałązki. Gospodarz na dole zbiera te gałązki, układa na karosie i zawozi do domu.

Niektórzy uważają, że do zakonserwowania zdrowia trzeba się gimnastykować. Ja twierdzę, że najlepsza gimnastyka to włożenie na drzewa herva mate.

Nieźle mi się powodziło w tej Guarani. Pożywienie było dobre. Nabierałem coraz więcej sił. Gospodarz do fizonu i ryżu nie żałował kiełbasy. Ludzie tutaj dużo świń chowają. Smalec sprzedają, a mięso zostawiają dla siebie i robią z tego kiełbasy. Obok domku mieszkalnego stoi taki budynek specjalnie na wędliny. Na długich kijach wiszą obwarzanki kiełbas. Cały sufit z kiełbas. Kto lubi kiełbasy to proszę — może używać. Nie wiem, czy teraz tam tak jest, ale kiedyś tak było.

Słońce już zaszło i świerszcze zaczynały swój wieczorny koncert. Porzuciliśmy pracę przy herwie i poszliśmy do domu.

Siedziałem na niskim stołku blisko drzwi i obserwowałem wnętrze izby. Gospodarz krajał sobie *fumo de corda* na pokolację. Gospodyni krzątała się przy kuchni. A opodal na krześle siedziała chuda, stara kobieta. W przeciwieństwie do synowej, która nosiła modną sukienkę, ona miała na sobie długą po kostki, układaną w fałdy spódnicę, bluzkę z długimi rękawami, fartuch związany w pasie i chustkę na głowie, spod której wysuwały się siwe, prawie białe, kosmyki włosów. Chudymi rękami obejmowała małego chłopca i dziewczynkę, dwoje wnucząt, które się do jej kolan tuliły.

— Pani pewno pochodzi z Polski? — zagadnąłem.

Kobieta rzuciła na mnie szybkie spojrzenie.

— Miałam osiem lat kiedy przyjechałam z Polski do Brazylii — odparła.

— Przyjechała pani z rodzicami?

— Tak, z rodzicami.

Po chwili dodała:

— Moich rodziców zamordowali Indianie.

(D. c. na str. 20)

WSPOMNIENIA Z DAWNYCH LAT

Wyjątek z pamiętników
(rok 1912 - 13)

Politycznym szefem w Palmeirze był pułkownik Gwardii Narodowej, Ottoni Maciel, człowiek inteligentny, przyjaciel swych zwolenników, wytrawny polityk, dbający o rozwój municypium, słowem patriota.

Miał on i przeciwników, jak każdy śmiertelnik, w Palmeirze rządził jednak niepodzielnie.

Gdy w naszych koloniach stałem się popularnym kupcem zwrócił się do mnie, żebym ułatwiał Polakom nabywanie tytułów wyborczych. Postarałem się, żeby wszyscy Polacy, posiadający sztukę pisaną, stali się wyborcami.

I o dziwo! nazbierało się tego dość dużo, a była to nie tylko spora, ale i zgodna gromada.

Wyznaczono wybory. Nasz pułkownik został wysunięty na deputowanego do parlamentu i wprowadzić uzyskał jedynie niewielką nadwyżkę głosów nad swym przeciwnikiem, ale przeszedł. Nasi głosowali na niego gremialnie.

Koronel Ottoni był niezmiernie rad i po wyborach złożył mi wizytę. Kazałem puścić kilka rac, które rozrywając się z hukiem ściągnęły sporo mieszczan. Urządzono mu owację, a ja powinszowałem w krótkich słowach zwycięstwa.

Przy pożegnaniu zapytał, czy nie mam jakiej prośby więc powiedziałem, że w municypium jest dużo słomy żytniej, która marnuje się w 90 procentach, a można by fabrykować z niej słomianki do flaszek, gdybym otrzymał odpowiednią koncesję.

Pułkownik polecił mi wnieść podanie. Zrobiłem to prosząc, żeby udzielono mi koncesji na kilka lat bez opłat podatkowych.

Koncesję otrzymałem bez trudności i pojechałem zaraz do Guajuviry, gdzie znajdowało się dwóch fabrykantów z tej branży: Włodzimierz Kohn i Carlos Kellerfon Asseburg.

Odwiedziłem tego ostatniego i dałem mu do przeczytania akt koncesji.

Asseburg przybliżył trochę i powiedział:

— Michał, nie zakładaj fabryki, ponieważ tych, które istnieją jest już i tak w Paranie, aż nadto. Kupię od ciebie wszystką słomę po dobrej cenie. Będę ci płacił pieniądze z góry za trzy lub nawet cztery wagony. Niepotrzebne ci są kłopoty i trudy.

Warunki były dobre więc podpisałem umowę, wziąłem pieniądze i wysyłałem miesięcznie od dwóch do trzech wagonów słomy.

Ludzie byli zadowoleni, ponieważ brali za centnar słomy równowartość trzech dolarów, a przedtem za centnar sieczki, na którą zbyt był ograniczony, zaledwie dwa dolary.

Za to kupcy pochodzenia syryjskiego byli wściekli, że Polak pracujący bez wielkiego kapitału, zmonopolizował kupno i sprzedaż słomy. Postarali się, żeby władza municypalna nałożyła podatek na produkty rolne wysyłane poza obręb municypium, co w dużej mierze podrywało handel i biło po kieszeni producentów.

Przeprowadziłem propagandę wyjaśniając kto postarał się obniżyć cenę na zboże i inne produkty. O dniu posiedzenia rady zawiadomiłem przyjaciół, żeby skrzyknęli gromady, którego dnia o określonej godzinie mają się stawić w Palmeirze przed siedzibą municypium.

Panowie rajcy debatowali nad sprawami municypium, a przed urząd przybywali bez przerwy obywatele na wozach, konno i pieszo.

Przybyło około 400 osób, a i ja już nadeszłem z delegatami od gromad i przy bramie urzędu spotkałem się z pułkownikiem Macielem.

— Co to, Michał, rewolucja? — zapytał mnie w podenerwowaniu.

— Nie, panie pułkowniku, zwykła reklamacja.

Weszliśmy do osobnej sali i pułkownik poprosił, żebym wyjaśnił sprawę.

Przedstawiłem, że dzięki napływowi kolonistów spod Kurytyby wzrosła pro-

dukcja płodów rolnych, a miasto nie rozwinęło się dostatecznie — istnieje więc nadprodukcja. Nadprodukcję tę trzeba wywieźć, żeby płynął pieniądz do rąk wytwórców. Tymczasem podatek od wywozu płodów rolnych hamuje produkcję, dusi wprost ludzi pracujących z zamilowaniem. Mało tego podatek jest wymierzony przeciw żywotnym interesom całego powiatu, ponieważ ustał nawet napływ do Palmeiry kolonistów ze starych pieleszy.

Debatowaliśmy przeszło pół godziny. Delegaci również zabierali głos i mówili rzeczowo. Pułkownik zgodził się wreszcie poddać reklamację pod rozważanie radnych.

Radni obalili szkodliwe prawo, chytrzy kupcy dostali po nosie, a moja popularność wzrosła.

MICHAŁ SEKUŁA

MOJE PRZYGODY W BRAZYLII

(Dokończenie ze str. 19)

— Jakto? — zdziwiłem się. — Ci Indianie, co się u was wynajmują do pracy w polu i wyplatają koszyki z bambusu?

— Ech, nie... Te Indiany to się już przy nas "umansowali". Tamte to były w Santa Katarynie — dzikie, złe, Boto-kudy.

Na chwilę zamilkła. Utkwiła wzrok w przeciwniejszą szarą ścianę i powiedziała:

— Jak przyjechaliśmy z Polski do Brazylii tośmy osiedlili się w kolonii w Santa Katarynie. Las żeśmy wyrabiali, zieleniło się na polach i ludzie pobudowali sobie domy.

Pamiętam jak to było. Było to w niedzielę po południu. Ludzie rozmawiali przed chatami. Naraz jakiś przeraźliwy krzyk. Zająrzaliśmy do sąsiadów. Sąsiedzi coś wołali, pokazywali na pole pod lasem. Spod lasu leciały jakieś nagusy z kijami.

Co to się działo, mój panie! Ja uciekłam do kapuery i tam siedziałam do rana. Słychać było straszne wrzaski mordowanych ludzi i jakieś dzikie krzyki. I było słychać trzask jak się domy paliły. Na drugi dzień rano zebrała się nas mała gromadka tych co pozostali przy życiu. Wzięliśmy na siebie cośmy mieli i poszliśmy przez las. I to długo trwało, kilka dni, zanim trafiliśmy do Guarani i tu już zostaliśmy.

Kobieta zamilkła i spojrzała na mnie siwymi, wyblakłymi oczami.

— Niech pan siada do kolacji — do-dała.

Stefan Pochwatka.

**Czy zapłaciłeś już
prenumeratę za
rok 1961?**



KUBKI PAPIEROWE

Do 1 ltr pojemności

BUTELKI PAPIEROWE

(Container's)

Talerzyki i kubki papierowe

Na uroczystości, pikniki, etc. (Fantasia)

Opakowania specjalne dla super-mercados, fabryk konserw, etc.

INDÚSTRIA INAJÁ

Artefatos, Copos, Embalagens de Papel S.A.

— ★ —

Escr.: R. 7 de Abril, 296 - 10.º andar - Fone: 34-0865 — SÃO PAULO

End. Telegr.: "COPINDUS"

« ŚLĄSK » -- WIRTUOZ

Andrzej Wróblewski

PRZEDRUK Z « ŻYCIA WARSZAWY »

Na czym polega atrakcyjność «Śląska», co ściąga wielotysięczne tłumy na jego koncerty, składa dłoń w oklaskach, a usta w wołanie o bis? Z pewnością jest to bliskość sercu, polskość tego zespołu, z pewnością jest to sam folklor, który melodią, strojem lub tańcem wypełnia wspomnienia wielu z nas. «Śląsk» działa jednak najsilniej dwoma czynnikami: muzyczno-wokalnym i widowiskowym. «Śląsk» to Stanisław Hadyna i Elwira Kamińska, para artystów — wirtuozów, koncertujących na wspaniałym instrumencie — Zespole.

Nie widziałem «Śląska» parę lat. Zmienił się. Jego program rozwinął się i wzbogacił, przybyło piosenek i tańców, założenia repertuarowe uległy krystalizacji. To już nie zespół pieśni i tańca, to monumentalne widowisko oratoryjne. Stanisław Hadyna, zgodnie ze swymi założeniami, nie traktuje folkloru jak dogmatu. Jest on dla niego tylko inspiracją, tworzywem, z którego według własnych wyobrażeń komponuje tak, «jak być mogło», nie «jak jest». Silnie tkwiąc w klimacie muzycznym danego regionu posługuje się współczesnymi środkami kompozytorskimi, a mając do dyspozycji chór o znakomitych głosach — wydobywa z utworów efekty brzmieniowe o zaskakującym wyrazie. Niezwykła czystość intonacyjna, szlachetność brzmienia, idealna precyzja i niebywała rozpiętość dynamiczna stawiają ten chór w rzędzie najlepszych. Z poszczególnych partii wokalnych można się zorientować, że jest to prawdziwy zespół solistów. Takich basów i altów może «Śląskowi»

zazdrościć każda opera. Chór nie przestaje zresztą na utworach przeznaczonych na estradę publiczną. Śpiewa poważny repertuar koncertowy — do oratoriów Bacha i Haendla włącznie.

Podobnie balet. Elwira Kamińska, wychodząc z folkloru, daje własne układy choreograficzne, oparte na technice tańca klasycznego. Swoboda w operowaniu dużym zespołem baletowym rozwiązuje układy taneczne w sposób przejrzysty i logiczny, przy czym ich pomysł, choć podporządkowany efektowi, jest zawsze zgodny z charakterem folkloru. Elwira Kamińska dba i o plastykę kostiumów, i o ładnie rozwiązane wejście, ruch, ukłon. Chwilami, tam gdzie kończy się choreografia a zaczyna teatr, staje się inscenizatorem i reżyserem. W ten sposób dwoje artystów, wzajemnie się uzupełniając, tworzy to wspaniałe, pełne poezji i ruchu widowisko.

Oprócz śpiewu i tańca, następnym walorem «Śląska» są ruch i kolor. Sztuką jest wydobyć z niezbyt jaskrawych barw śląskiego kostiumu tyle harmonii, sztuką jest operować nimi, by tworzyły tak wspaniałą mozaikę. Nawet biel i czerń swoistą grą światłocienia, sprawiają niezapomniane wrażenie. A dynamika, temperament «Śląska», doprawdy zatyka oddech. Zespół wydaje się być w ciągłym ruchu — przy czym nie jest to ruchliwość musztrowania, raczej reżyseria, dająca wrażenie swobodnej przypadkowości.

Takie są walory «Śląska», owoc siedmiu lat pracy i ćwiczeń.



W grudniu 1960 r. odbył się w Polsce spis powszechny. Rachmistrz spisowy w Koszęcinie siedzi z zespołem: «Śląsk».

SUTANNA SZYMONA

(Dokończenie ze strony 12-iej)

Mijają sny, a wraz z nimi, wiosna, lato, jesień — we snach wszystko mija szybko. Jest zima. Koledzy w kożuszkach, w weinianych czapkach na głowach, opatuleni w ciepłe szale zjeżdżają na sankach «na śledzia» z Alej do zaśniewanej Agrykoli. W kamiennej wannie woda zamarzała na lód... Szymonowi zimno dokucza nie do zniesienia, bardziej, niż głód, bardziej, niż brak papierosów. Naciąga kołdrę na głowę, ale nie udaje mu się usnąć na nowo. Rozlegają się czyjeś kroki.

— To po mnie — przebiega sennemu myśl o koleżkach — chcą się bawić...

Kroki stają się coraz głośniejsze, towarzyszy im coraz wyraźniejszy stuk podbitych gwoździ butów. Za drzwiami szarpanina. Czyjś krzyk: Jezus Maryja! Łomot upadającego ciała: to Kowalczykowa. Szybkie, niecierpliwe uderzenia kolbami wywalają drzwi kryjówki.

— Aufstehen!!!

Niepotrzebnie wrzeszczą, bo Szymon stoi już i to na mocnych nogach. Jest spokojny i nawet nie czuje zimna.

— Przepraszam za swój wygląd, ale spałem — tłumaczy się grzecznie najczystsza niemiecczyzna — zaraz się ubiorę. Panowie pozwolą obok — otwiera drzwi do swego «iluzjonu» — za chwilę będę gotów - mówi i znika w rupieciarni.

Na twarzach esesmanów zdziwienie.

— Ten jakoś stracha nie ma, jakby tylko czekał na nas. Czy to aby napewno ten sam? — pyta najmłodszy z nich i sprawdza listę.

— Zgadza się: Symcha Kohn, w mieszkaniu rodziny Kowalczyk, Krakowskie Przed... W drzwiach stanął Symcha Kohn. Nie — to Szymon Konicki, kapitan Wojsk Polskich. W swym dawnym mundurze oficera stoi pewny siebie i wyprężony, jak by poza nim nie było długich lat żmudnego żywota, pełnego rozczarowań, cierpień i blisko dwóch lat głodowania i strachu.

Esesmani są najwyraźniej zmieszani. Spoglądają po sobie, nie rozumiejąc tej nagłej zmiany. I Kowalczykowa, która zdążyła się pozbierać i stoi teraz za nawpół zerwanym zwojem kilimu, nie może pojąć maskarady swego pana. Ale nikt nic nie mówi. Zbyt wiele jest powagi w wąskim paseczku odznaki, która krwawi czerwienią na piersi oficera.

Kapitan Konicki po raz ostatni obejmuje wzrokiem mury swojego więzienia i pręży się przed tymi, którzy go stąd wyprowadzą. Dostrzega wzrok ich na swoim ramieniu.

— Ja nie mam prawej ręki — mówi twardo — zostawiłem ją pod Radzymiem.

Wysoko trzyma głowę, gdy melduje:

— Jestem gotów.

I zaraz po tym krótki, ostry rozkaz:

— Idziemy!

Mira Lampe-Sławińska

PRZEMYSŁ POLSKI W BRAZYLII

Eletromar

INDÚSTRIA ELÉTRICA BRASILEIRA

W r. 1941 trzech Polaków postanowiło zorganizować w Brazylii wielki przemysł artykułów elektrotechnicznych.

Byli to: ś.p. inż. Piotr Bergman, organizator wyższej kategorii, posiadający stosunki i łączność z Ameryką Północną i Europą; inż. Józef Rymer, specjalista z zakresu elektrotechniki i inż. Jerzy Hurwicz, doświadczony kierownik handlowy.

Całym kapitałem tych ludzi była dobra wola, wiara w powodzenie, kompetencja i praca.

Za zezwoleniem Westinghouse'a zaczęto produkować na początku reaktory, wyłączniki i rozmaitego rodzaju klucze elektryczne.

Po rozpoczęciu produkcji trzeba było zorganizować sprzedaż. Pracę tę podjął Polak, który wstąpił do Eletromaru jako sekretarz inż. Bergmana, ale mając wyższe ambicje zaprzagnął zorganizować

sieć sprzedaży. W pionierskiej swej pracy rozjazdowej po całej Brazylii odwiedzał miasta, miasteczka i osiedla, propagując Eletromar i jego produkty. Nie było to łatwe zadanie przed dwudziestu laty kiedy nie istniały jeszcze prawie żadne drogi asfaltowe, a autobusy były to stare graty, które po przebyciu 10-15 kilometrów stawały, gdyż albo się oś złamała, albo psuło się coś innego. Nie raz podczas deszczu pasażerowie musieli wysiadać z wozu i popychać go kilka kilometrów. Ale Wacław Tajtelbaum nie zaznał spokoju dopóki nie wykonał swoich zadań. Warto wspomnieć mozołną pracę tego cichego "promotora" sprzedaży. A choć nie pracuje już dziś w Eletromarze zna osobiście klientelę firmy na obszarze całej Brazylii.

Jeszcze za czasów jego działalności w Eletromarze kontynuował jego pracę, rozjeżdżając po Brazylii wszędzie i wzdłuż od Manaus do Uruguiany w charakterze inspektora sprzedaży Adam Adolf Żyto, który obecnie jest agentem firmy na stany Parana i Santa Catarina z siedzibą w Kurytybie.

Należy wymienić jeszcze jednego Polaka, Feliksa Piotrowskiego, który przez szereg lat kontrolował sprzedaż w stanach São Paulo, Parana i Santa Catarina.

Dziś wicedyrektorem i kierownikiem sprzedaży w Eletromarze jest dr. Grzegorz J. Petrowicz, człowiek o wielkiej kulturze, który potrafi zjednać sobie sympatię wszystkich klientów i dzięki niebywalej energii i wysokim kwalifikacjom zorganizował departament sprzedaży wraz z oddziałami i agencjami w całej Brazylii.

Eletromar to obecnie potęga. Kapitał zakładowy spółki wynosi 350 milionów kruczejów. Na czele firmy stoi jako jej prezydent senator Arthur Bernardes Filho.

(aa)

Belmonte Ltda.

— ★ —

Wczoraj przez przypadek trafiłam do nowej firmy wyrobów kosmetycznych BELMONT.

Przywitał mnie miły i wiecznie uśmiechnięty Francuz. Oprowadzając po malej, ale nowocześnie urządzonej fabryce, bez przerwy mówił o kosmetykach.

BELMONT jest filią fabryki francuskiej specjalizującej się w wyrobie kosmetyków naukowo wypróbowanych. Po raz pierwszy w Brazylii firma lansuje płyn do opalania bez słońca GOLDEN TAN, działający na skórę jak promienie słoneczne. Drugą nowością jest produkt o nazwie CARDEP, doskonały środek do usuwania zbędnego uwłosienia.

Na uwagę zasługuje również płyn Spum, stosowany do kąpieli. Płyn ten, rozpuszczony w gorącej wodzie o temperaturze 30 stopni, posiada właściwości odchudzające. Żeby go używać trzeba mieć jednak bardzo zdrowe serce.

Firma wyrabia poza tym: wspaniałe wody kolonjskie, jak Mistral, Versaille i Lavande Royal; kremy hormonowe dla różnych rodzajów skóry, kremy odtłuszczające i wiele innych produktów upiększających, jak: sześć typów maseczek m. in. maseczkę z alg morskich.

Produkty firmy są specjalnie opakowane i specjalnie obniżone dla zawodowców.

Laboratorium prowadzone jest przez znanego kosmologa, przybyłego z Paryża.

Na pożegnanie zostałam oblana perfumami Mistral i p. Belmont szepnął mi na ucho:

— Ma grande mère était Polonaise.

Bożena M.

COMERCIAL POLPARANÁ S.A.

IMPORTAÇÃO — EXPORTAÇÃO — REPRESENTAÇÕES

TRATORES DE ESTEIRAS - TRATORES DE PNEUS - IMPLEMENTOS AGRÍCOLAS - COLHEDEIRAS - CARRETAS - MAQUINÁRIA PARA TERRAPLANAGEM E EQUIPAMENTOS CONGÊNERES - ESCAVADEIRAS - ARAMES-GRAMPOS - MÁQUINAS OPERATRIZES - MATERIAIS ELÉTRICOS - CENTRAIS TELEFÔNICAS - EQUIPAMENTOS CIRÚRGICOS - APARELHOS CIENTÍFICOS PARA LABORATÓRIOS - MOTORES ESTACIONÁRIOS - MAQUINÁRIAS E EQUIPAMENTOS P/ INDÚSTRIAS - BEBIDAS E COMPOTAS ESTRANGEIRAS.

ALAMEDA CARLOS DE CARVALHO, 356/360 - FONE: 4-1574

CURITIBA — PARANÁ — BRASIL



Rodosfiel S.A.

BŁĄD DRUKARSKI

W szkicu m. l. s. pt.: "Pozwólcie działkom przyjść do mnie..." na str. 12 w. 41 w kol. 1 nr. 5/6 naszego pisma pojawił się przykry błąd drukarski.

Zamiast wyrazów: "oprysków antysemyckich" powinno być: "oprysków antysemyckich".

SKARBY WAWELSKIE WRACAJĄ DO KRAJU

Dnia 31 grudnia 1960 r. dyrektor muzeum prowincjonalnego w Quebec za zgodą władz kanadyjskich przekazał Polsce resztę skarbow wawelskich, które we wrześniu 1939 r. udało się ocalić z pożogi wojennej i przewieźć w bezpieczne miejsce za Oceanem.

Odbioru skarbow dokonali: dyrektor Państwowych Zbiorów Sztuki na Wawelu prof. J. Szablowski i główny konserwator w pracowni konserwacji zabytków w Warszawie prof. B. Marconi.

Skarby zostały załadowane na statek "Krynica", który w chwili, gdy to piszemy powinien już być przybyć do Gdyni.

Niepodobna tu wyliczyć wszystkich zabytków. Wspomnijmy choćby jednak, że wracają pamiątki po królu Janie III Sobieskim — ofiarowany mu za odsiecz wiedeńską przez papieża Inocencja XI piękny miecz z pochwą i ozdobnym pasem, obficie haftowany perłami kapelusze oraz sprezentowany przez króla Francji, Ludwika XIV, okazały płaszcz, przynależny do insygniów Orderu św. Ducha. Dalej wracają wiekowe chorągwie, delikatne tkaniny, zbroje husarii polskiej, bogate rzyty końskie, ozdobne czapki, kolekcje polskiego i zdobywcę oręża. A przede wszystkim — wraca wspaniała kolekcja 132 litych srebrem i złotem wielobarwnych arrasów jagiellońskich z XV i XVI wieku. Stano- wi ona nie tylko historycznie, ale i materialnie najcenniejszą część polskich skarbow narodowych. Kolekcja ta pochodzi ze zbiorów króla Zygmunta Starego i syna jego, króla Zygmunta Augusta. Arrasy te projektował w Brukseli i czuwał nad ich wykonaniem znakomity artysta, Michał Coxien (1499 — 1592), zwany "flamandzkiem Rafaelem". Pierwsze zamówienia z Krakowa nadeszły do Brukseli w 1526 i 1533 r. Najstarszy jednak z kolekcji arrasów jagiellońskich jest tzw. arras burgundzki, tkany w 1462 roku, a więc 500 lat temu.

Przygotowania do przyjęcia powracających z Kanady pamiątek narodowych na Zamku Królewskim na Wawelu już się rozpoczęły. Najwięcej pracy wymagać będzie rozmieszczenie arrasów. Wszystkie arrasy — jeżeli stan ich pozwoli — znajdą się z powrotem na swych dawnych miejscach.

W Sali Poselskiej na zapleczu tronu zawiśnie prawdopodobnie arras z orłem polskim i herbem Korczak, ofiarowany Zygmuntowi Augustowi przez Krzysztofa Komorowskiego w 1560 r. Na innej ścianie tej sali znajduje się jeden z największych arrasów o rozmiarach 9 x 4 m — przedstawiający scenę z raj. Pozostałe arrasy zawisną na ścianach komnat królewskich i w salach zamku na drugim piętrze, lub w innych pomieszczeniach zamkowych.

Zanim powracające arrasy zajmą swe dawne miejsca w salach zamku, będą musiały przejść specjalne badania w pracowni konserwacji tkanin.

Jak mówią konserwatorzy pracowni, konserwacja zabytkowych tkanin, a zwłaszcza tej miary skarbow jak wawelskie arrasy, jest rzeczą bardzo trudną, a w dodatku bardzo pracochłonną. Polega ona na dokładnym przejrzeniu i sporządzeniu dokumentacji uszkodzeń, które następnie będą usuwane cał po cału, zastępując zniszczone fragmenty specjalnie przygotowanymi nićmi z naturalnego jedwabiu i wełny. Surowiec ten musi być odpowiednio przygotowany i zabarwiony naturalnymi, roślinnymi farbami, które następnie przez dłuższy czas muszą wypłowić na słońcu tak, by w niczym nie odróżniały się kolorem od reszty gobelinu. Jeżeli konserwator stwierdzi, że tkanina jest słaba, arras zostanie wzmocniony specjalnymi ramami i pasami, które utrzymają jego ciężar. Praca konserwatorska trwa czasami bardzo długo. Rekord w tej mierze pobił arras o nazwie "Budowa Arki Noego", który swego czasu przez trzy i pół roku przebywał w pracowni konserwacji tkanin.

STAN ZDROWIA LUDNOŚCI W POLSCE

Przeciętny okres życia człowieka w Polsce wzrósł w porównaniu z okresem przedwojennym o 15,1 lat. W latach 1931-32 przeciętna trwania życia wynosiła 49,8 (u mężczyzn 48,2 a u kobiet — 51,4), natomiast w latach 1955-56 przeciętna ta wynosiła już 64,9 (u mężczyzn 61,8 a u kobiet 67,8).

Wpłynęły na to bez wątpienia lepsze możliwości diagnostyczne i lecznicze, będące rezultatem postępu technicznego na świecie oraz rozwoju nauk medycznych.

Znalazło to m. in. wyraz w spadku zachorowań na choroby zakaźne. Np. zapadalność na dur brzuszny — licząc na 10 tys. ludności — zmniejszyła się z 4,2 w 1938 r. do 1,4 w 1959 roku. Duży spadek zachorowań zanotowano także w odniesieniu do duru płamistego oraz błonicy, głównie dzięki stosowaniu masowych szczepień ochronnych. Wybitnie zmalał wskaźnik zachorowań na gruźlicę. W 1952 r. wynosił on 49,5 (na 10 tys. ludności) zaś w ub. r. 29,9. Równocześnie zmniejszyła się także ogólna liczba zgonów na 100 tys. ludności z 1222,5 w 1932 r. do 773,8 w 1958 r.

Biorąc pod uwagę wskaźnik zapadalności na niektóre choroby i spadek liczby zgonów oraz lepszą opiekę lekarską należy stwierdzić, że stan zdrowotności ludności naszego kraju wyraźnie się poprawił.

Stan zdrowotny dzieci w Polsce jest obecnie lepszy niż w latach przedwojennych. Znajduje to przede wszystkim wyraz w najbardziej reprezentatywnych wskaźnikach rozwojowych, w wadze i wzroście dzieci.

Wiadomości z Kraju

W dalszym ciągu stosunkowo wysoka jest liczba zgonów niemowląt. W porównaniu z latami 1936-1938 zmniejszyła się ona wprawdzie o połowę, niemniej w 1955 r. wskaźnik umieralności niemowląt (na 1000 urodzeń żywych) wynosił 82,2, a w ub. r. — 71,3. Jest to w porównaniu z innymi krajami liczba bardzo wysoka i świadcząca przede wszystkim o niewystarczającej wciąż opiece profilaktycznej. Stwierdza się również wzrost chorób reumatycznych u dzieci i młodzieży, a także niemal powszechność próchnicy zębów.

Z innych problemów na czoło wysuwają się sprawy związane z chorobami układu krążenia. Notuje się stały ich wzrost. Zjawisko to obserwuje się obecnie nie tylko w Polsce, ale i w innych krajach i jest ono niewątpliwie skutkiem szybkiego rozwoju postępu technicznego, a co za tym idzie również zmiany warunków życia.

CENY W POLSCE

W dalszym ciągu podajemy ceny w Polsce (patrz nr 4 i 5/6)

Ceny w restauracjach II kategorii:

Befsztyk po tatarsku — 6 zł.
Jajko garni ze śledziem — 3,15.
Jajko na szynce — 5,10.
Pieczeń cielęcą, marchewka z groszkiem, ziemniaki — 10,70.
Sznycel cielęcy po wiedeńsku, jajko, marchewka z groszkiem, ziemniaki, kompot — 16,85.
Zrazy wieprzowe po węgiersku, kluszczyki, kompot — 13,65.
Klops mielony, sos pomidorowy, ziemniaki — 7,45.
Bukiet z jarzyn, jajko sadzone, ziemniaki — 10,15.

KONSERWY "PUDLISZKI":
Kalafior — 10 zł. Szczaw — 5,30.
Leczo (papryka w sosie pomidorowym) — 12.
Fasola — 12.
Koncentrat pomidorowy 12-procentowy, ½ litra — 7,20.
Ogórk, duży słoik — 13.
Ketchup (sos pomidorowy), ½ litra — 10,50.

Kompoty, puszka 1 kg. Czerwień — 13,40 zł. Wiśnie — 14,40.
Morele — 16,20.
Gruszki — 14,40.
Mirabele — 13,50.
Kompot mieszany — 15,30.

Dżemy, słoiki ½ litra: Truskawki — 9,90. Agrest — 9,90.

Produkty spożywcze:

Jaja świeże sztuka 2,40 zł. — Orzechy włoskie kg 26 zł. — Owoce (grudzień 1960): Jabłka (malinówki, złote renety, kosz-

tele) kg. 4 do 6 zł. — Gruszki kg. 4 do 6 zł. — Śliwki suszone kg. 18 zł. — Woda sodowa z sokiem, szklanka 90 gr.

Pranie:

Koszula męska 5 zł.

JESZCZE O NOWEJ TARYFIE CELNEJ

Nowa taryfa celna, która weszła w życie w Polsce z dn. 15 listopada 1960 r. wywołuje wśród Polaków zamieszkałych za granicą, którzy chcieli by pomagać swoim bliskim w kraju liczne wątpliwości. W związku z tym drukujemy poniżej wywiad przeprowadzony w tej sprawie przez PAP z dyrektorem Centralnego Zarządu Cel Józefem Konarzewskim.

— W przeciwieństwie do obowiązujących dotychczas zarządzeń — stwierdził dyr. Konarzewski — nowa taryfa wprowadza dwie tzw. kolumny stawek celnych. Pierwsza z nich, mimo dokonania pewnej korekty stawek (zarówno w górę jak i w dół) niewiele w zasadzie zmieni dotychczasowe opłaty celne. Ta kolumna stawek dotyczyć będzie jednakże tylko tych, którzy otrzymują przesyłki wyłącznie dla swych potrzeb i nie prowadzą "prywatnego handlu zagranicznego".

Natomiast druga kolumna zawiera stawki wyższe o 50 do 150 proc. od stawek kolumny pierwszej. Te wyższe stawki dotyczą przesyłek adresowanych do ludzi uprawiających handel towarami zagranicznymi. W sumie więc nowe przepisy mają przede wszystkim charakter antyspekulacyjny.

— Jak w praktyce będzie wyglądało działanie nowej taryfy?

— Wytlumaczę to najlepiej na przykładzie. Jeśli ktoś otrzyma dwa swetry wełniane, to stawka celna wyniesie 400 zł. od 1 kg. Jeśli jednak przesyłka zawierać będzie większą ilość swetrów, to następne clone będą w wysokości do 900 zł. za 1 kg. Podobnie kawa palona: jeśli nie przekroczy 2 kg, podlegać będzie ocenie do 100 zł. za 1 kg. Za dodatkowe jednak ilości trzeba będzie zapłacić do 200 zł. od 1 kg. Drugą kolumnę stawek wprowadzamy jedynie dla tych artykułów, które — jak wykazuje dotychczasowa praktyka — najczęściej stają się przedmiotem handlu.

— Wyrażane są obawy, że obecne przepisy celne są zbyt

rygorystyczne, a stawki za wysokie. Zastrzeżenie np. budzi przepis mówiący, że druga kolumna stawek obejmować będzie również te osoby, które "podejrzanie" często otrzymują paczki. Czy istotnie są powody dla takiej zmiany taryfy celnej?

— Rozumiem, że wśród ludzi mniej zorientowanych mogą powstać takie wątpliwości — mówi dyr. Konarzewski. — Wystarczy jednak choćby pobieżnie przyrzeć się niektórym przykładom, aby wątpliwości te usunąć.

Oto np. przeprowadziliśmy wrywkową zupełnie analizę 500 przesyłek z zagranicy, głównie z Francji i NRF. Każda z tych paczek waży kilkanaście kg. Zawierają one np. 18 kg nowych swetrów, lub 10 tys. żyletek, albo też 500 zapalniczek. Nikt chyba nie sądzi, że są to rzeczy przeznaczone do osobistego użytku. Łatwo też zorientować się, że dla tych samych osób paczki przysyłane są na różne nazwiska. I tak np. w Łodzi dla tej samej rodziny przysył w ciągu kilku dni 3 paczki ze swetrami o łącznej wadze ponad 50 kg. Zapłacono za nie, zgodnie z dotychczasowymi przepisami 7.700 zł. cla. Tymczasem w przesyłkach tych było, lekko licząc, przynajmniej 120 swetrów, których wartość rynkowa sięga ok. 1000 zł. za sztukę. Bardziej zainteresowanych tą sprawą odsyłam do urzędu celnego na lotnisku Okęcie. Tam swetry — niekiedy w przesyłkach od anonimowych na-

dawców — przychodzą już tonami. Przed 3 dniami nadeszło np. 1,5 tony swetrów francuskich dla prywatnych odbiorców, a uprzednio np. — w dniach od 10 do 22 października — blisko 1.400 kg. Ich wartość w walucie francuskiej wynosiła 3.600 tys. starych franków. Jeszcze wcześniej — między 5 a 10 października — nadeszło na Okęcie ponad 2 tony swetrów z wełny i włókna sztucznego przeznaczonych dla 72 osób. Przecież to już jest handel na wielką skalę. Nie sposób biernie się temu przypatrywać.

Jeśli zaś chodzi o stosowanie drugiej kolumny stawek w stosunku do osób, które otrzymują często paczki, to obawy są niesłuszne. Przepis ten stosowany będzie tylko w rażących przypadkach i tylko przeciwko tym, w stosunku do których będzie pewność, że zajmują się spekulacją.

— Co spowodowało jednakowe traktowanie przez nową taryfę celną towarów nowych i używanych?

— Powodów jest kilka. Często jesteśmy po prostu oszukiwani ponieważ z zupełnie nowych przedmiotów sztucznie robi się rzeczy stare. Wystarczy przecież nowy but potrzeć o chodnik. A wreszcie na świecie taryfy celne nie stosują takich rozróżnień, jak my dotychczas. Jednakże renciści i osoby korzystające z opieki społecznej przy otrzymywaniu przesyłek zawierających używaną bieliznę, odzież, pościel oraz obuwie

placić będą niższe stawki celne (5 zł. od pary obuwia i 5 zł. od 1 kg wymienionych przedmiotów). Nie trzeba będzie składać w związku z tym żadnych podań, wystarczą tylko odpowiednie dokumenty, potwierdzające, że dana osoba jest rencistą lub korzysta z opieki społecznej.

Wywiad ten nie wyjaśnił jednak wszystkich wątpliwości. ŻYCIE WARSZAWY ogłosiło wobec tego odpowiedzi zebrane w trakcie rozmów w kołach gospodarczych na niektóre pytania dotyczące nowej taryfy celnej.

PYTANIE. — Główne argumenty przytoczone przez dyrektora Konarzewskiego w wywiadzie PAP dla uzasadnienia nowej taryfy sprowadzały się do względów ekonomicznych, a mianowicie do konieczności położenia tamy spekulacyjnemu handlowi, który zrealizował wysokie zyski korzystając ze starej, opłacalnej stawki celnej. Czy jednak spekulanci to większość adresatów przesyłek; czy nie "wylano więc dziecka wraz z kąpielą", to znaczy czy przy okazji kroków antyspekulacyjnych nie zlikwidowano drogi, z której korzystały rodziny z zagranicy dla udzielenia pomocy swym krewnym w kraju?

ODPOWIEDZ. — Nie można oczywiście powiedzieć, że większość adresatów paczek to spekulanci. Twierdzenie takie byłoby po prostu absurdalne. Przecież przesyłek przychodzi rocznie ok. 3 milionów, a adresatów jest ok. 750.000. Chodzi tu jednak nie o ilość, lecz o jakość. Otóż — aby nie wracać już do jaskrawych a wymownych przykładów szczegółowych, których wystarczającą ilość przytoczył dyrektor CZ Cel — wystarczy powiedzieć, że według dokładnej analizy większość zawartości przesyłek przeznaczona była na handel. Poprzednia taryfa celna po prostu do tego zachęcała. Mieliśmy w kraju i za granicą do czynienia już nie z poszczególnymi osobami, a z zorganizowanymi "gangami". Dla takiego handlu z Polską, a więc dla handlu niejako konkurującego z Ministerstwem Handlu Zagranicznego, zorganizowano za granicą specjalne firmy wysyłkowe, tu zaś na miejscu poważniejsi "handlowcy" dysponowali szeroką siecią podstawowych osób, którym płaciło się po prostu za adres. Taki proceder przestanie się teraz opłacać.

A teraz — jakie są możliwości pomocy rodzin z zagranicy dla krewnych w kraju? Przede wszystkim dla paczek, których zawartość przeznaczona jest dla spożycia własnego adresata, przewidziano właśnie stawki w kolumnie I, a więc stawki w zasadzie w wysokości obowiązującej do dnia 15 listopada. Zaszły w tej kategorii stawek pewne korektury, mają one jednak charakter raczej kosmetyczny i

finansowo nie stanowią większego niż przed 15 listopada obciążenia. Także limity ilościowe są tak pomyślane aby charakter pomocy czy daru zagwarantować. Nie ma zresztą powodu, aby pomoc od rodzin z zagranicy miała się ograniczać tylko do formy paczkowej. Nie wiadomo dlaczego nie miałyby się w większym stopniu korzystać np. z pośrednictwa Banku PKO, które to pośrednictwo jest wysoce opłacalne dla odbiorcy (opłaca się zresztą także Państwu), a nie budzi żadnych wątpliwości typu celnego czy podatkowego. Krótko mówiąc, zdaniem kół gospodarczych ogranicza się możliwości spekulacji (trudno niestety mówić tu o likwidacji tego zjawiska), ale zarazem utrzymuje się szeroko otwarte wrota dla najbardziej korzystnych, ale i uczciwych form pomocy.

PYTANIE. — Rozumiemy oczywiście konieczność likwidacji czy ograniczenia możliwości spekulacyjnych. Nikt nie chce tolerować w Polsce sytuacji umożliwiającej tworzenie się fortun drogą nieuczciwego handlu czy spekulacji. Czy jednak nie są słuszne obawy, że prohibicyjne cła zatrzymają dopływ na rynek także i takich towarów, na których nadmiar nie cierpieliśmy, a które w dużej mierze pochodziły właśnie z paczek?

ODPOWIEDZ. — Twierdzenie, że nasycenie rynku w pewne artykuły mogłoby zależeć od dostaw pochodzących z paczek zagranicznych zakrawa na nonsens. Nie pod tym przecież kątem widzenia reguluje się taryfy celne. Zaopatrzeniem rynku w towary zajmują się w ramach planowego obrotu powołane do tego instytucje i trudno sobie nawet wyobrazić sytuację, w której zaopatrzenie to miałyby od prywatnych paczek zależeć. Poprzednia taryfa celna miała na celu umożliwienie otrzymywania przez prywatne osoby w Polsce darów czy przedmiotów przeznaczonych dla ich własnego użytku. Cel ten jednak został poważnie wypaczony i wynaturzony. Przybrał on cechy nie do tolerowania, o których była mowa w odpowiedzi na pierwsze pytanie. Stąd właśnie wynika konieczność modyfikacji i w tym należy upatrywać przyczyny obecnej zmiany taryfy celnej. Przy okazji warto powtórzyć: Bank PKO jest do dyspozycji. "Prawdziwa pomoc krytyk się nie boi".

PYTANIE. — Sporo wątpliwości wzbudził fakt zrównania "w prawach" rzeczy używanych i nowych. Wrócmy do tego pytania, mimo że publikowano już krótkie wyjaśnienia w tej materii. Chodzi nam bowiem o to, że przesyłki rzeczy używanych adresowane były do osób, które zawartość paczki wykorzystywały wyłącznie dla celów osobistego użytku. Chodzi tu więc o dziedzinę, która nie ma wspólnego ze spekulacją.



REN-O-MAX

Ind. Eletromecânica Ltda.

Produtos de fabricação da "REN-O-MAX"

- ★ Chaves de faca abertas e blindadas, de abertura e fechamento rápidos.
- ★ Fusi-automatos (conjuntos de chave de faca e chave magnética, botoeira e lâmpada piloto na mesma caixa).
- ★ Quadros de distribuição de luz com disjuntores termomagnéticos ou com fusíveis.
- ★ Cabines e quadros para distribuição e comando de força e luz.
- ★ Cubículos blindados tipo "Unit Substantion".
- ★ Calhas com barramento tipo "Busduct".
- ★ Chaves e bases blindadas tipo "Plug in" para encaixe nas calhas.
- ★ Disjuntores automáticos de fabr. representada "Federal Pacific Electric Co."

FABRICA:

Rua Madre de Deus, 217/227 (Moóca) — Tel. 9-5669

C. Postal, 2.504 - S. PAULO - End. Teleg.: "Eletrorco"

ODPOWIEDZ. — Tak, istotnie. I nie o element spekulacji tu chodzi. Na początek krótkie wyjaśnienie. Nie ma na świecie państwa, które by w swej praktyce celnej rozróżniało rzeczy nowe i używane. Była to "polska specyfika" i była ona słuszną w początkowej fazie odbudowywania naszej gospodarki. Władze uważały, że nawet i taka forma pomocy była do przyjęcia wtedy, kiedy kraj był zniszczony, a ludzie z wielkim wysiłkiem odbudowywali swoje egzystencje. Dziś czynniki gospodarcze nie widzą powodu do utrzymywania tego stanu rzeczy. Handel "ciuchami" zresztą zanika, dalszy napływ towarów zużytych jest ekonomicznie zbędny, jest niepożądany już nie tylko ze względów moralnych, ale nawet sanitarnych. Z ekonomicznego punktu widzenia uważa się, że import ciuchów jest zbędny, bo rynek nasz zaopatrzonej jest dostatecznie w niezbędne artykuły konfekcyjne, a państwu — rzecz chyba zrozumiała — zależy na tym, aby te artykuły sprzedawać. Na koniec dwie uwagi. Przede wszystkim — pierwsza kolumna taryfy umożliwiła przesłanie według nie zmienionych stawek pewnej ilości garderoby (teraz już chyba nowej, skoro cena jest taka sama) i po drugie — jak już wiadomo, renciści i osoby korzystające z pomocy społecznej mają w odniesieniu do rzeczy używanych (w tym wypadku liczyć się trzeba z dalszym ich napływem) prawo do daleko idących ulg.

Renciści a cło.

PYTANIE. — Nowa taryfa celna przewiduje cło ulgowe dla rencistów. Jakże formalności należy załatwić dla otrzymania tych ulg? Otrzymuję od krewnych z Anglii paczki z używanymi rzeczami, ale wysokość cła określa urząd celny w Gdyni, a poczta na miejscu pobiera tylko określoną już cenę — więc skąd Urząd Celny będzie wiedział wobec kogo zastosować ulgową taryfę?

ODPOWIEDZ. — Całą tę procedurę — bardzo zresztą skomplikowaną — reguluje "Monitor Polski" z dnia 9 listopada ub. r. Otóż w celu uzyskania ulgowej stawki celnej od przedmiotów używanych adresat powinien przedstawić pocztowej placówce oddawczej — 1) renciści — jeden z odcinków przekazu za ostatnie dwa miesiące potwierdzające otrzymanie renty; 2) osoby korzystające z opieki społecznej — odpowiednie zaświadczenie od właściwych organów rady narodowej. Jeden z dokumentów, o których mowa powinien być umieszczony w kopercie ofrankowanej i zaadresowanej do urzędu celnego, który dokonał odprawy. Kopertę należy oddać w urzędzie pocztowym, który zawiadomi o nadejściu paczki. Urząd ten kieruje odpowiednie dokumenty z powrotem do urzędu celnego, a ten na podstawie zaświadczenia o rencie czy pomo-

cy społecznej dokonuje przecenienia paczki. Po pewnym czasie (trudno powiedzieć jakim — praktyka wykaże) wszystko to wraca do urzędu pocztowego, który pobiera ulgową opłatę i wydaje przesyłkę. Trudno nazwać to wszystko procedurą prostą i jasną. Tak jednak będzie i tylko życie wykaże dojrzałość powyżej opisanego systemu. Na pocieszenie warto pamiętać, że lepiej płacić mniej i poczekać na paczkę, niż płacić drożej za natychmiastową "rozkosz".

PYTANIE. — Przy otrzymywaniu z zagranicy paczek z używanymi rzeczami emeryci mają ulgi. Paczki są przynoszone do domu — wylegitymowanie się emeryta przed urzędnikiem pocztowym będzie bez znaczenia. Jeżeli zabierze paczkę z powrotem będą doliczane koszty i sprawa skomplikuje się.

ODPOWIEDZ. — Sprawa się rzeczywiście komplikuje, ale dodatkowych kosztów nie będzie.

PYTANIE. — Ile paczek rocznie może otrzymać rencista z zagranicy, żeby korzystać z ulg w cło?

ODPOWIEDZ. — W zasadzie ograniczeń nie ma. Ponieważ jednak rencista, aby korzystać z ulgi musi przedstawić odcinek potwierdzający otrzymanie renty, który to odcinek pozostaje w aktach celnych, wynika z tego, że paczek takich może on otrzymać najwyżej dwa razy rocznie. Istotnym ograniczeniem jednak jest warunek, że ilość i rodzaj otrzymywanych rzeczy muszą wskazywać, iż są one przeznaczone do użytku własnego, a nie na handel.

Do 30 tys. zł. — bez podatku

PYTANIE. — Czy są podstawy prawne do otrzymywania paczek z zagranicy o wartości do 30 tys. zł. miesięcznie, bez dodatkowych opłat skarbowych?

ODPOWIEDZ. — Paczki z zagranicy do wartości 30 tys. zł. w ogóle (nie w skali miesiąca) traktowane są jako darowizna i nie podlegają opodatkowaniu skarbowemu. Natomiast o ile w ciągu roku suma 30 tys. zł. została przekroczona (paczki przesyła ta sama osoba dla tej samej osoby), wówczas pobiera się podatek od nieodpłatnego nabycia praw majątkowych.

To samo dotyczy przesyłek nawet o niższej wartości, których "treść" rzeczowa wskazuje niedwuznacznie na ich wyłącznie handlowy charakter.

CUDZOZIEMCY I TARYFA CELNA

PYTANIE. — Poprosiłam krewnego — obywatela angielskiego o przywiezienie kilku drobiazgów z Londynu. Czy, przysługuje mu klauzula zwolnienia przy 1500 zł opłaty celnej? 2) Czy, jeżeli będzie musiał zapłacić cło, może uiścić opłatę w walucie polskiej z diet, które otrzyma następnego dnia po przyjeździe (podróż służbowa — specjalista), czy też w walucie obcej?

ODPOWIEDZ. — 1) Zwolnienie od opłaty celnej przedmiotów, od których suma cła wyniosłaby do 1.500 zł przysługuje również obywatelowi zagranicznemu.

2) Celnicy polscy pobierają opłaty jedynie w złotych. Oby-

watel zagraniczny może więc u tegoż celnika wymienić walutę na złote i następnie wpłacić, albo też pozostawić kwestionowane rzeczy w depozycie, a następnie je wykupić.

PKO bez podatku

PYTANIE. — Proszę o odpowiedź, czy przekazy otrzymywane z zagranicy za pośrednictwem Banku PKO (Bank Polska Kasa Oszczędności) podlegają również opodatkowaniu skarbowemu na równi z paczką?

PYTANIE. — Otrzymuję od brata z zagranicy co miesiąc 20 dolarów przez PKO. 1) Czy nie grozi mi po kilku latach perspektywa zapłacenia jakiegoś podatku? 2) Pobieram rentę starczą — czy nie grozi mi utrata?

ODPOWIEDZ. — Żadne zarządzenia w sprawie taryfy celnej nie zmieniają niczego w odniesieniu do transakcji dokonywanych za pośrednictwem Banku PKO. Operacje dokonywane poprzez PKO zwolnione są z wszelkich obciążeń podatkowych.

2) Pomoc otrzymywana za pośrednictwem PKO nie powoduje utraty ani renty, ani żadnych innych świadczeń emerytalnych itp.

CELNY "KOT W WORKU"

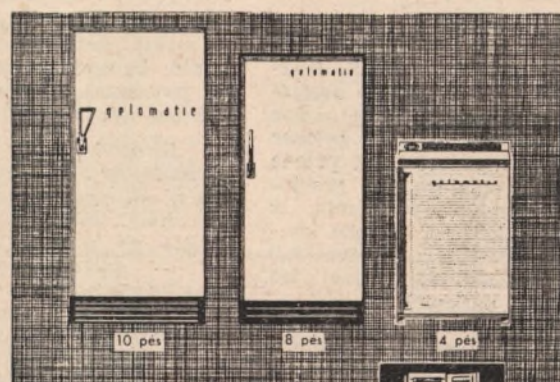
Przedruk z Życia Warszawy

Otrzymałem z zagranicy 8-kilową paczkę. Zapłaciłem 1.980 zł cła. Okazało się, że w paczce są same ciuchy, których wartość nie przekracza 400 zł. Zarabiam miesięcznie 1200 zł. Zo-

ZGODNIE Z POTRZEBAMI
WASZEJ RODZINY
GELOMATIC SUPER LUXO LR.

gelomatic LR
Super Luxo

MOŻECIE GO OBEJRZEĆ
U KONCESJONARIUSZY
W KAŻDYM MIEŚCIE
NA TERENIE BRAZYLII



na — 700 zł. Obecnie jesteśmy zrozpaczeni, mamy nawet dług. Gdyby na liście celnej oprócz numeru i stawki jaką mam zapłacić były wyszczególnione rzeczy, które znajdują się w paczce, nie przyjąłbym jej. (Z. C.)

Dnia 22.XI. ub. r. otrzymałam zawiadomienie z poczty o nadejściu paczki z zagranicy. Cło wyniosło 588 zł. Wysupialysmy po radzie rodzinnej te 600 zł i paczka znalazła się w domu. Gdy otworzyliśmy paczkę, moje przerażenie i rozpacz nie miała granic. Paczka 11 kg zawierała kilka par starych porwanych kapci, kilka porwanych starych śmierzdzących łachów, kilka porwanych torebek damskich i jakiś pas damski. Strach pomyśleć, że coś takiego można wziąć do ręki.

Tu coś nie jest w porządku przecież, gdybym wiedziała, co zawiera paczka, nigdy bym się nie zgodziła na jej odbiór. (Z. L.)

powinien wiedzieć, co w paczce się znajduje i musi mu być dane — zależne od tego — prawo odmowy odbioru tej paczki. Nie wystarczy tu — nieznanne zresztą powszechnie — uprawnienie do ponownej procedury celnej w obecności adresata. Szkoda na to czasu i a-tiasu. Jawność dokumentu celnego jest tym bardziej niezbędna obecnie, kiedy jednym z argumentów (wysuwanych zresztą także przez "Życie") przy uzasadnianiu potrzeby zastosowania nowych stawek celnych było dążenie do wyeliminowania z paczek poniżających z uwagi na ich jakość takich obiektów jak stare, nieraz nie wyprane ciuchy czy nawet bielizna, na wpół zużyte kredki do ust czy wręcz... niedopałki papierosów. Jeżeli więc chcemy, aby takiej paczki adresat nie przyjął, a więc ją odesłał czy ukończył ponowny taki proceder, to musimy mu umożliwić dokładne poznanie jej zawartości. I to we właściwym czasie. Przy okazji jeszcze jedna sprawa celna. Chcemy i ją wy-

zabrała mi tę "chorągiewkę", pozbawiając mnie tym samym jedynego dowodu, stwierdzającego dokładne wyliczenie wartości paczki.

Czy słuszne jest stanowisko Urzędu Pocztowego nr 2 w Warszawie, który tak obojętnie ustosunkował się do kradzieży i pokrycia poniesionej przeze mnie straty? (W. P.)

Wyjaśnijmy sobie przede wszystkim zasadę. Kontrahentem adresata paczki jest nie urząd celny lecz urząd pocztowy. Jest to może odróżnienie dla adresata subtelne, ma jednak swoje znaczenie i konsekwencje. Tak więc nasz czytelnik powinien zwrócić się do właściwego w tym przypadku urzędu pocztowego nr 5 w Gdyni. Poczta bowiem jako przewoźnik odpowiada wobec adresata za całość przesyłki i tylko do niej można wnieść pretensje.

PASZPORTY

PYTANIE. — Brat zamieszkały za granicą chce mnie sprowadzić na stałe wraz z rodziną. Znajomi powiadają, że nie dostanę zgody na wyjazd, ponieważ mam 2 synów chodzących do szkoły podstawowej. Czy to prawda, oraz gdzie ewentualnie trzeba złożyć podanie o uzyskanie paszportu na wyjazd dla mnie, żony i synów. Zaznaczam, że mieszkam w innym województwie niż warszawskie.

ODPOWIEDZ. — Naszym zdaniem, fakt posiadania dzieci i to nawet chodzących do szkoły nie stanowi sam dla siebie przeszkody w staraniu się o wyjazd. Wszystkie formalności należy załatwiać w wojewódzkiej komendzie MO. Miejsce zamieszkania nie odgrywa żadnej roli.

SPADEK ZAGRANICZNY

PYTANIE. — Mój krewny zmarł w Anglii i pozostawił niezłą sumkę w funtach. Jestem jedynym spadkobiercą. Chciałbym jednak wiedzieć, jak się do takiego zagranicznego spadku odnoszą nasze władze. Czy i jaki podatek przyjdzie mi zapłacić, gdybym ten spadek przyjął, gdybym go zostawił w Anglii i tylko procenty kazał sobie do kraju przysyłać, lub gdybym całość do Polski ściągnął? Gdyby koszty i formalności miały być zbyt uciążliwe, to może lepiej do spadku się nie przyznawać i żyć spokojnie jak dotychczas.

PYTANIE. — Dowiedziałam się od krewnych, że mam w USA zapis wynoszący dożywotnie 100 dolarów rocznie. Proszę o wyjaśnienia: 1) czy mogę tą kwotą dysponować dowolnie? 2) czy mam obowiązek zgłoszenia tego zapisu — komu? 3) czy ewentualnie pieniądze mogą być przekazywane na moje konto do Polskiej Kasy Opieki?

ODPOWIEDZ. — Urzędy Konsularne PRL, którym polscy spadkobiercy powierzyli reali-

zację spadków zagranicznych, przekazują zrealizowane spadki w dewizach do dyspozycji spadkobierców w Banku PKO, celem wykorzystania w tzw. eksporcie wewnętrznym.

2) Spadki zagraniczne przekazane do kraju są wolne od podatku spadkowego i innych podatków.

3) Koszty realizacji spadków zagranicznych są stosunkowo niewielkie. Urzędy Konsularne potrącają ze spadków jedynie koszty poniesione przy prowadzeniu sprawy, jak np. honorarium adwokata miejscowego, koszty legalizacji, tłumaczeń dokumentów itp. oraz od spadku netto — opłatę konsularną. Koszty te są z reguły niższe od kosztów realizacji spadków za pośrednictwem prywatnych czy pokątnych doradców.

4) Szczegółowych informacji, udziela Departament Konsularny Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

PYTANIE. — Mam otrzymać mienie osobiste zmarłego ostatnio w Anglii brata. Czy będę płacił cło od tego spadku, jeśli formalności załatwia Konsulat Generalny w Londynie, który również będzie nadawcą przesyłki?

ODPOWIEDZ. — Jak nam wyjaśniono w Urzędzie Celnym — jeśli Konsulat Generalny potwierdzi spis rzeczy zmarłego — automatycznie zostaje Pan zwolniony od opłaty.

DOMKI ZA DEWIZY

PYTANIE. — Czy ktoś mieszkający za granicą może wpłacić wkład budowlany do Banku PKO, celem kupienia mieszkania? Czy taka wpłata w dolarach przyspieszy zapisanie do spółdzielni własnościowej lub lokatorskiej i otrzymanie mieszkania spółdzielczego?

ODPOWIEDZ. — Bank PKO chętnie pośredniczy w takich transakcjach. Bank sprzedaje mieszkania lub domki na własność reflektantom posiadającym oczywiście odpowiednie konto w PKO. Czas trwania transakcji jest różny. Zależy to od stanu posiadania, który z kolei zależy od przydziałów, jakie bank otrzymuje od władz miejskich.

BIURO ADRESOWE W POLSCE

PYTANIE. — Jak znaleźć osobę zamieszkałą na terenie Polski? Znam jej imię, nazwisko, wiek oraz obszar, na którym zamieszkuje w promieniu 50 km. Podobno tego rodzaju placówka istnieje w Warszawie.

ODPOWIEDZ. — W Warszawie jest Główne Biuro Adresowe, które udziela tego typu informacji. Po to, aby uzyskać adres, trzeba wziąć z Warszawskiego Wydziału Ewidencji Ludności i Dowodów Osobistych, ul. Krucza 5/11 odpowiedni dru-

(Dokończenie na str. 28)

A LUZ MODERNA W. Stempień & Cia. Ltda.

Instalações elétricas em geral
Iluminação fluorescente, etc.

Modernos cartazes a gaz neon
Iluminação a Cold Cathod

Rua General Jardim 148

Fone: 35-1969 — SÃO PAULO

Nad wydrukowanymi fragmentami listów trudno przejść do porządku dziennego. Nie tylko dlatego, że są to bolesne sprawy ich autorów, ale przede wszystkim dlatego, że przytoczone przykłady wskazują, iż na tak delikatnym odcinku kontaktu obywatela z urzędem jak obszar działalności celnej nie dzieje się najlepiej.

O cóż właściwie chodzi. Po prostu o niezmuszanie odbiorców do wykupywania "kota w worku". Do czasu wejścia w życie obecnie obowiązującej, taryfy celnej, to znaczy do dnia 15 listopada ub.r. — choć i wtedy zasada "dyskrecji" nie była właściwa — nie pociągała ona za sobą zbyt kosztownych konsekwencji. Obecnie, po zmianie stawek rozmiary "kłęski" mogą być już poważne.

Trzeba temu położyć kres. Zasada, że każdy dowód odprawy celnej zawiera ściśle określone nazwy towarów zawartych w paczce a nie tylko ich symbole zrozumiałe wyłącznie dla urzędników celnych, musi zostać rehabilitowana. Nie można narażać klientów poczty na żywiołowe straty. Obywatel

jaśnić, bo pytania czy zarzuty się powtarzają. Otóż pisze do nas ob. W. P.:

8 listopada 1960 r. Urząd pocztowy nr 2 w Warszawie doręczył mi paczkę, nadesłaną z zagranicy. Jak wynika z dołączonej do paczki "chorągiewki" — adresu pomocniczego, wypełnionej przez nadawcę, paczka winna była zawierać między innymi: 1 funt kawy, ½ funta kakao, 4 uncje pieprzu. Niestety, stwierdziłam brak ww artykułów, jedynych bardziej wartościowych przedmiotów. Poza nimi znajdowała się w paczce bowiem używana damska garderoba.

W związku z tym wybrałam się z reklamacją do Urzędu Pocztowego nr 2 w Warszawie, przy ul. Towarowej, okazując kontrolerce wyżej wspomnianą "chorągiewkę" oraz dowód odprawy celnej. Zamiast rzeczowej informacji i życzliwej pomocy usłyszałam od kontrolerki, urzędującej w okienku nr 2 suchą odpowiedź, że reklamować może nadawca paczki w Chicago.

Jednocześnie owa kontrolerka

Co nowego w przemyśle krajowym

PAROWOZY ZJEżdżAJĄ Z TORÓW

Elektryfikacja i modernizacja kolejowych tras

W r.b., gdy zakończona zostanie elektryfikacja linii kolejowych, m. in. z Warszawy w kierunku Kutna i Poznania oraz z Gliwic do Wrocławia, pociągi PKP kursować będą z szybkością ponad 100 km/godz. na 1140 km zelektryfikowanych tras.

Plany na 1961-1965 przewidują elektryfikację rocznie około 200 km linii kolejowych. W roku 1965 ma być zelektryfikowanych ok. 2000 tys. km kolejowych szlaków — to jest ok. 9-10 procent całej sieci PKP. Ale na tych dziewięciu procentach koncentrować będzie się ok. 20 procent wszystkich przewozów kolejowych. Elektryfikuje się bowiem w pierwszej kolejności główne magistrale, łączące większe ośrodki przemysłowe oraz linie tranzytowe, szczególnie obciążone przewozami towarowymi.

Do 1965 roku zelektryfikowana ma być m. in. linia z Warszawy przez Łowicz (pociągi do Łowicza ze stolicy ruszą latem 1961 r.), Kutno do Poznania. Zelektryfikowana będzie również trasa od Krakowa do Przemysła. Ok. roku 1963 zakończona będzie modernizacja linii Katowice — Zebrzydowice, dzięki czemu elektryczne pociągi kursować będą mogły z Warszawy aż do Pragi i być może do Wiednia. Przed 1965 rokiem elektryfikowana także będzie linia Wrocław — Wałbrzych, która później przedłużona zostanie do Jeleniej Góry.

Program modernizacji kolei, to nie tylko elektryfikacja. Parowce pociągów zastępowane będą również przez jednostki motorowe, o napędzie dieslowskim.

Na razie jednostki motorowe kursują tylko w kilku rejonach kraju: na liniach lokalnych m. in. w okręgu warszawskim, gdańskim, bydgoskim, olsztyńskim. Kursują też 2 szybkie pociągi dalekobieżne łączące Warszawę z Gdańskiem i Gdynią oraz Warszawę z Bydgoszczą.

Plany kolei w dziedzinie motoryzacji przewidują w nadchodzącym pięcioleciu uruchamianie coraz większej ilości szybkich, dalekobieżnych pociągów, łączących stolicę z miastami wojewódzkimi oraz z innymi większymi miastami w kraju. Uruchamiane będą również motorowe pociągi łączące miasta wojewódzkie np. Poznań ze Szczecinem czy Zieloną Górę z Wrocławiem.

Do roku 1965 przewidziane jest zakupienie dla PKP około 270 motorowych jednostek, które

będą mogły rozwijać szybkość do 115 km/godz.

ŚLĄSK BEZ HAŁD ?

Obok kopalni "Michał" koło Siemianowic Śl. uruchomiony został pierwszy polsko-węgierski zakład przeróbczy "Haldex". Zakład ma zamiar po pierwsze — odzyskać ze śląskich hałd jak najwięcej węgla, który w kamieniach wędruje z kopalni na wysypiska, a po wtóre — jak najszybciej oczyścić ślask z przykopalnianych, bezużytecznych zwalów.

Pierwszy zakład w Siemianowicach potraktowano jeszcze doświadczalnie. Ale i tak oblicza się, że w ciągu roku z hałd odzyska się, tu ok. 60 tys. ton węgla. Oprócz tego "Haldex" wyprodukuje przy kopalni "Michał" blisko 200 tys. ton surowca potrzebnego do produkcji prefabrykatów budowlanych oraz wiele materiału, zastępującego sprowadzany na Śląsk piasek — na podszkawkę do wypełniania kopalnianych wyrobisk.

W ciągu doby ze śląskich kopalni na zwalysy wysypuje się ok. 25 tys. m sześciennych kamieni, zawierających jeszcze spore ilości węgla. Tak dzieje się od wielu dziesiątków lat. W tej chwili przykopalniane hałdy zajmują obszar ok. 8 tys. hektarów. Leży na nich, na zwaliskach, ponad 100 milionów metrów sześciennych kamieni.

Jeśli siemianowicki eksperyment da pomyślne wyniki, jeśli "Haldex" upora się z tym wysypiskiem — do 1965 roku powstanie na Śląsku jeszcze co najmniej 10 podobnych zakładów.

Produkcja nowego zakładu dzielona będzie między Polskę i Węgry.

"SZKLANE DOMY" I BŁĘKITNE CEGŁY

Dwa ośrodki wypoczynkowo-sportowe, budowane obecnie w Zakopanem i w Krynicy, będą po raz pierwszy w Polsce wzniesione ze szkła — z wielkich szklanych bloków wykonanych w hucie "Szczakowa" w woj. krakowskim. Bloki szklane otrzymują izolację termiczną i dźwiękową, będą także odpowiednio przygotowane, by przez szklane tafle nie można "podglądać" do środka. Jeśli zakopiański i krynicki eksperyment zda egzamin, zarówno pod względem technicznym, jak i... ceny — "Szklane Domy" powstawać będą również w innych miejscowościach. Szkło blokowe ze Szczakowej można używać do wznoszenia obiektów o wysokości 2-3 kondygnacji.

Inną nowością przygotowywaną przez przemysł materiałów

budowlanych będą kolorowe cegły. Doświadczenia przeprowadzone w zakładach w Wieliszewie koło Warszawy wypadły pomyślnie. W 1961 roku kolorowe cegły (różowe, błękitne, żółte i zielone) produkować będzie się także w nowych zakładach sili-katowych w Łęknicy w woj. koszalińskim. Stosując barwne cegły od razu można otrzymać — bez tynkowania czy montowania płyt kamiennych — gotowe elewacje budynków. Orientacyjnie przewiduje się, że stosując zamiast tynku kolorowe cegły na elewacjach oszczędzić można kilkanaście procent kosztów.

Również w bieżącym roku na budowach ukaże się sporo (ok. 15 tys. ton) białego i kolorowego cementu, którego produkcję podjęto w cementowni w Wejherowie. Barwny cement używany będzie również do tynkowania domów, oraz do wiązania kolorowych cegieł.

240 METROWY DOK W GDYNI

Na terenach stoczni gdyńskiej buduje się obecnie wielki — 240-metrowy suchy dok. Wraz z dokiem powstanie nowoczesny ośrodek budowy wielkich statków. Składać się na to będzie: plac montażu wielkich prefabrykowanych sekcji statków, hala prefabrykacji części kadłubów, hala obróbki stali i wielka składnica stali okrętowej z automatycznym transportem.

Jest to największa inwestycja morska w Polsce. Koszt jej wynosi 570 mln. zł. a budowa zakończona zostanie w zasadzie w 1962 r. Rozpocznie się tam na początek budowę serii mniejszych statków, 16 drobni-cowców każdy po 9 tys. DWT. W przyszłości będzie można bu-

dować w Gdyni statki wielkie do zbiornikowców rzędu 65 DWT.

Prace budowlane są poważnie zaawansowane. W budowie jest już ogromna "wanna" suchy dok. Rozpoczęto roboty wstępne związane z budową hali do prefabrykacji kadłubów. Nowo powstający ośrodek budowy statków będzie miał długość 1 km.

AUTOBUSY PRODUKCJI POLSKIEJ

Jelczańskie Zakłady Samochodowe opuścił setny autobus marki "Karosa". Nie jest to wydarzenie tak wielkiej miary, by nad nim się specjalnie roz-wodzić. Wyprodukowanie 100 autobusów to przecież dopiero początek.

Autobusy "Jelcz-Karosa" są owocem współpracy przemysłu samochodowego Polski i Czechosłowacji. Zakłady Skoda przysyłały do Jelcza gotowe podwozia, które w Jelczańskich Zakładach Samochodowych o-budowywane są karoserią, o-partą na dokumentacji czechosłowackiej.

Jelcz staje się coraz większym producentem naszego przemysłu motoryzacyjnego. Oprócz Karos buduje się tu samochody pożarnicze, różne typy nadwozi specjalnych oraz — co dla gospodarki i transportu towarowego jest szczególnie ważne — duże samochody ciężarowe polskiej produkcji, 8-mio tonowe "Żubry". W r. 1965 plan przewiduje produkcję 3 tys. autobusów, 300 samochodów pożarniczych oraz innych samochodów — 1050.

(D. c. na str. 28)

U w a g a !
WSZYSTKIE PISMA I CZASOPISMA POLSKIE
można zaprenumerować w Rio de Janeiro w firmie
"M. KISIEL"

Av. Rio Branco 18. sala 407

Wielki wybór czasopism z dziedzin naukowych i technicznych, również w językach: angielskim, francuskim, rosyjskim, hiszpańskim i niemieckim. Czasopisma religijne; pisemka dla dzieci i młodzieży; szachowe, brydżowe, sportowe; z dziedziny sztuki, filmu, teatru, czasopisma handlowe. Poradniki techniczne, rzemieślnicze, rolnicze itd.

PRENUMERATA ROCZNA

NUMERY OKAZOWE DO PRZEJRZENIA

Do nabycia również Kalendarz POLONII na rok 1961, w pięknym, książkowym wydaniu. Cena Cr\$ 100,00.

W KILKU WIERSZACH

Czy wiecie, że pałac w Łazienkach jest już zrekonstruowany? Odbudowane zostały: wspaniała sala balowa z kominami, łazienka królewska z dawnymi oryginalnymi kafelkami, sala Bachusa, rotunda, czyli sala królewska, której wnętrza zdobią posągi królów polskich. Pod kopułą alegoryczne obrazy Bacciariego przedstawiające siłę, mądrość itp., pod nimi — pory roku. Ostatnie dwa pokoje to sala jadalna, w której odbywały się słynne obiady czwartkowe i kredens. Wszystkie stiuki i marmury zdobiące odrestaurowane sale są pochodzenia krajowego i tak świetnie zrobione, że trudno je odróżnić od starych, ociekających.

Jeszcze tylko cztery lata będzie pływał "Batory". Po tym terminie zgodnie z przepisami międzynarodowymi zostanie sprzedany na złom. Projektuje się zakupienie w stocznich zagranicznych lub wybudowanie w Polsce nowego statku tej samej klasy co Batory.

Dwa dni świąt kościelnych zostały skasowane w Polsce. Dzień 6 stycznia (Trzech Króli) i 15 sierpnia (Wniebowstąpienie) zalicza się od br. do dni, w których obowiązuje praca.

Na niedzielę 16 kwietnia 1961 r. wyznaczone zostały w Kraju wybory do Sejmu i do rad narodowych.

Na rynku rzeszowskim zapadła się ziemia. Najpierw pojawiły się nieduże rysy, później wyrwa, a wreszcie potężna szczelina o kilkumetrowej średnicy. Nie było to trzęsienie ziemi, aczkolwiek niektórzy mieszkańcy Rzeszowa tak sądzili. Tajemnicy szukać należy w tym, że zabudowa terenu wokół rynku jest bardzo stara. Wszędzie dokoła są lochy i piwnice, głębokie na kilka pięter. Liczą co najmniej 500 do 600 lat. Część z tych piwnic jest już dawno zasypana. Mury skruszały. Być może na którymś z niższych pięter obsunął się, strop, co pociągnęło za sobą zawalenie się którejś z górnych kondygnacji.

Zeszłoroczny sezon owocowo-warzywny upłynął pod znakiem wyjątkowego urodzaju gruszek, wiśni, a także niektórych gatunków warzyw oraz dobrych zbiorów jabłek i owoców pestkowych. Jak się szacuje, zbiory owoców osiągnęły około 900 tys. ton, z czego 600 tys. stanowią jabłka. Warzyw zebrano ok. 1.200 tys. ton.

Jedną z najpomyślniejszych dotychczas — tegoroczna kampania cukrownicza zbliża się do końca. Z 76 cukrowni 68 zakończyło już produkcję.

Dotychczas cukrownie wyprodukowały ponad 1.350 tys. ton cukru, przekraczając już o przeszło 150 tys. ton planowe zadania tegoroczne. (PAP)

Obecnie w administracji państwowej w Polsce pracuje 162 tys. osób.

W ciągu ostatnich pięciu lat zredukowano liczbę etatów o ok. 70 tys. Na początku 1956 r. było w kraju 67 ministerstw i różnych urzędów centralnych. Obecnie jest ich 46.

W ub. roku rozpoczęto w Polsce eksport żab, których nie brak w stawach krajowych. Za 1 kg żab zagranica płaci półtora dolara. Spółdzielczość polska zamierza zainicjować hodowlę żab w opuszczonych stawach. Atrakcyjnym towarem są również polskie ślimaki. W ub.r. wywieziono ich za granicę 75 ton. Z zainteresowaniem odbiorców zagranicznych spotkała się także propozycja zorganizowania eksportu konserw z mięsa końskiego dla karmienia zwierząt domowych.

W Warszawie ponad 700 przedszkolaków rozpoczęło w br. naukę języków obcych, które prowadzi w 12 ośrodkach dzielnicowych i 16 przedszkolach Spółdzielnia "Wspólna Sprawa". Maluchy niezwykle szybko przyswajają sobie trudną wymowę, uczą się łatwo przez gry i zabawy, wierszyki i piosenki. Najwięcej, bo aż 98 procent, stanowią przedszkolaki w grupie języka angielskiego.

Zabawna impreza odbyła się ostatnio w przedszkolu w Krzemienicy (pow. Jarosław). Były to wybory... mis Lali. Przed-szkolaki zgłosili do konkursu swoje najbardziej uroczyste faworytki, po czym nastąpiło głosowanie. Uciechy było co niemiara i warto chyba imprezę taką powtórzyć w innych przedszkolach.

WIADOMOŚCI Z KRAJU

(Dokończenie ze strony 26)

czek, opłacić 10 zł za znaczek stemplowy, dołączyć znaczek pocztowy na odpowiedź i druczek po wypełnieniu wysłać w kopercie do Głównego Biura Adresowego, Warszawa. Odpowiedź powinno się uzyskać w ciągu półtora — dwóch tygodni.

CO NOWEGO W PRZEMYŚLE KRAJOWYM

(Dokończenie na str. 27)

ROZBUDOWA HUTY ALUMINIUM W SKAWINIE

Druga część huty aluminium w Skawinie rozpoczęła pracę w końcu r. 1960.

W nowo uruchomionych wydziałach produkcyjnych tego obiektu: III i IV elektrolizerni wyprodukowano pierwsze tony aluminium.

TURBOZESPÓŁ RUSZA W KORONOWIE

W Koronowie na Pomorzu po czterech latach budowy, rzekę

Brdę zagroziła wielka zaporą, spiętrzając jej wody na wysokość kilkunastu metrów. Jednocześnie w nowo wzniesionej hydroelektrowni rozpoczął się rozruch I turbozespołu. Nowoczesny agregat, dostarczony przez Czechosłowację posiada moc 12 megawatów. Jego "bliźniak" o podobnej mocy rusza również w bieżącym roku.

W polskich laboratoriach MONOKRYSZTAŁY NOWE GATUNKI KAUCZUKU

Poważnymi wynikami w zakresie produkcji monokryształów metali poszczycić się mogą specjaliści z Zakładu Fizyki Jądrowej Instytutu Badań Jądrowych w Świerku pod Warszawą. Każdy metal ma strukturę krystaliczną, ale kryształy składające się nań, są bardzo małe. Polscy specjaliści opracowali technologię produkcji niezwykle wielkich pojedynczych kryształów tzw. monokryształów najróżniejszych metali — aluminium, miedzi, cynku, ołowiu, kobaltu i niklu.

Ich znaczenie polega na tym, że ułatwiają prowadzenie szeregu badań atomowych. Do Instytutu napływają z zagranicy zamówienia na dostawę monokryształów.

Grupa inżynierów z zakładowego laboratorium badawczego kombinatu oświecimskiego opracowała technologię produkcji dwóch nowych gatunków syntetycznego kauczuku. Podjęcie produkcji tych surowców w kraju pozwoli na ograniczenie ich importu w 1961 r. o wartości przeszło 800 tys. dolarów.

Jeden z nowych artykułów zastąpi, importowane dotychczas tworzywo, tzw. durant. Drugi — to latex, czyli tzw. mleczko kauczukowe.

NOWE BOGATE ZŁOŻA WĘGLA KOKSUJĄCEGO

W tej chwili Polska, jeden z największych eksporterów węgla kamiennego na świecie, węgiel koksujący sprowadzać musi z zagranicy. W r. 1960 importuje go ok. 700 tys. ton.

Ale już niedługo ruszą kopalnie w nowoodkrytym zagłębiu węglowym w okolicy Rybnika. Badania geologiczne wykazują, że wartość odkrytych już pokładów węgla gazowo-koksowniczego najwyższej jakości w tym okręgu obliczać można na 30 miliardów dolarów. Znajduje się tam blisko 4 miliardy ton węgla.

Na razie na drodze do osiągnięcia tego niezmiernie bogactwa piętrzą się duże trudności. Te trudności to m.in. gaz metan, w który zagłębie jest bardzo bogate. Ponadto trzeba zbudować w tym zapomnianym i zaniedbanym rejonie Śląska nowe szosy, gdyż dotychczasowe są to przysiółkowe polne drogi; trzeba sprowadzić do nowych kopalń z innych regionów kraju ponad 20 tys. pracowników, trzeba więc dla nich zbudować mieszkania, stworzyć osiedla i całe nowe miasta.

Paczki i przekazy PEKAO do Polski

RUA ASSEMBLEIA 93 — sala 2005
TEL.: 42-5541 — RIO DE JANEIRO

FOTO SAWI

Henryk Wisen

Aparaty fotograficzne Rolleiflex, Leica, Contax i inne.

Zamiana, kupno i sprzedaż
Najkorzystniejsze ceny!

Conselheiro Crispiniano, 40, — Telefone: 36-0670
SÃO PAULO

Notatki z São Paulo

BŁOGOSŁAWIENSTWO KS. PRYMASA WYSZYŃSKIEGO DLA CZŁONKÓW KLUBU 44

Ks. Kardynał Stefan Wyszyński w odpowiedzi na przesłaną na jego ręce ofiarę na rzecz powodzian w kraju, o czym donosiliśmy w poprzednim numerze naszego pisma, przekazał Zarządowi Klubu 44 serdeczne podziękowanie w imieniu swoim i obdarowanych.

Jednocześnie ks. Prymas przesłał członkom Klubu 44 błogosławieństwo, aby w swej pracy niecili w sercach umiłowanie do wiary i kultury swych przodków.

KS. BISKUP KRAUSE W SÃO PAULO

Biskup Parany ks. dr. Ignacy Krause, korzystając z kilkudniowego pobytu w São Paulo, był gościem Klubu 44.

Serdecznie powitany przez licznie zebranych członków Klubu ks. Biskup podzielił się wspomnieniami ze swego pobytu w Chinach i wrażeniami z ostatnich odwiedzin w Polsce.

OBCENA SYTUACJA I CO NAM PRZYSZŁOŚĆ MOŻE PRZYNIEŚĆ

Pod tym tytułem mons. José Paixão wygłosił dn. 2 grudnia 1960 r. w Klubie 44 odczyt w zastępstwie chorego senatora ks. Calazansa.

Prelegent omówił sytuację światową w związku z dynamizmem ruchu komunistycznego. Zdaniem jego należy zwalczać ten ruch nie w drodze dyktatury i gwałtu lecz poprzez przeciwdziałanie nędzy szerokich warstw ludności, demokrację, wolność i podnoszenie wartości moralnej człowieka.

WYWIAD Z JERZYM TOEPLITZEM

Zastaje Jerzego Toeplitza w jego pokoju hotelowym bezpośrednio po powrocie z Santos, gdzie bawił na kilkogodzinnej wycieczce. Profesor jest zafajerowany. Nie wie jeszcze jak zorganizuje sobie resztę dnia utracił bowiem łączność z kuzynem, który miał go pilotować po mieście.

Zadaje pierwsze pytanie, gdy wchodzi jeden z krytyków brazylijskich, wysoki jego wzrost, bardzo ugrzeczniwy i cokolwiek, jak mi się wydaje, speszony osobą profesora, piastującego tak wysoką godność w świecie filmowym.

Toeplitz sadza go przy telefonie, każe mu załatwiać jakieś sprawy. Następuje pewne odprężenie, możemy swobodniej rozmawiać.

— Pan wraca z Mar del Plata — powiadam. — Może zechce mi pan wyjaśnić dlaczego tym razem żaden film polski nie był reprezentowany na festiwalu?

Profesor śmieje się.

— Typowo dziennikarskie pytanie, — mówi. — W Mar del Plata zaprezentowaliśmy dzieło Jerzego Passendorfera: "Powrót". Film ten uzyskał odznaczenie honorowe krytyki. — Może pierwszy przekonuje się, że prasa jest zawsze najgorzej poinformowana.

— Byłem na wczorajszym pańskim odczyt i muszę przyznać, że dowiedziałem się wielu interesujących rzeczy o współczesnym filmie polskim. Ciekaw jestem tylko dlaczego nie wspominał pan wcale o polskim filmie dokumentalnym, który sądząc z odgło-

WYSTAWA OBRAZÓW JERZEGO ROSTWOROWSKIEGO

Jerzy Rostworowski, z którego utworami czytelnicy naszego pisma mieli się już nieraz możliwość zapoznać, jest nie tylko utalentowanym poetą lecz i doskonałym malarzem.

Wystawa artysty w Klubie 44, która miała miejsce w dniach od 6 do 15 grudnia ub. r., cieszyła się dużym powodzeniem, co znalazło swój wyraz w dokonanych przez publiczność licznych zakupach obrazów.

Recenzję z tej ciekawej wystawy zamieścimy w następnym numerze.

STULECIE URODZIN IGNACEGO PADEREWSKIEGO

24 listopada ub. r. odbył się w Klubie 44 kolejny wieczór czwartkowy poświęcony stuleciu urodzin Ignacego Paderewskiego.

Piękny referat okolicznościowy wygłosił Prezes Klubu, Antoni Moszkowski. W części muzycznej zebrani usłyszeli utwory Chopina z płyt nagranych przez Paderewskiego oraz "Fantazję Polską" Paderewskiego z płyty w wykonaniu pianistki Felicji Blumental z towarzyszeniem Londyńskiej Orkiestry Symfonicznej.

NADZWYCZAJNE WALNE ZEBRANIE CZŁONKÓW KLUBU 44

Dnia 17 listopada ub. r., jak podawaliśmy w poprzednim numerze naszego pisma, odbyło się nadzwyczajne walne zebranie członków Klubu 44.

Jednomyślną uchwałą przyznano mężatkom, żonom członkom Klubu, bierne i czynne prawo wyborcze. Uchwalona też została zwyżka opłat członkowskich.

sów prasy światowej wysuwa się na jedno z pierwszych miejsc?

— Istotnie nie wspominałem wcale o filmie dokumentalnym. Po prostu z braku czasu. Oceniam polski film dokumentalny bardzo wysoko. Sądzę jednak, że jeżeli chodzi o grunt brazylijski można by myśleć o sprowadzeniu i wyświetlaniu jedynie filmów o charakterze krajoznawczym jak np.: Zamłość, Sandomierz, Park w Łazienkach. Na tego rodzaju filmy znaleźli by się widzowie nie tylko spośród emigracji polskiej lecz również wśród Brazylijczyków.

— Co pan sądzi o rynku brazylijskim. Filmy polskie pojawiają się tu bardzo rzadko, chociaż na ogół cieszą się dużym powodzeniem wśród publiczności i krytyki.

— Musimy bardziej intensywnie podejść do rynku brazylijskiego. Rozmawiałem w tej sprawie z kolegami brazylijskimi. Nasimy się z zamiarem zrobienia festiwalu filmów polskich w São Paulo

— Czy nie uważa pan za możliwe zorganizowania koprodukcji polsko-brazylijskiej?

— Jestem gwałtownie przeciwny wszelkiej koprodukcji. Moim zdaniem daje ona zawsze mierne lub złe rezultaty.

— Jaki zeszłoroczny film polski według opinii pańskiej jest najlepszy?

— "Zezowate szczęście" Munka.

— Czytałem o tym filmie recenzje polskie i zagraniczne. Na ogół przeważa zdanie, że film ten jest za mało polski i dlatego nie zupełnie zrozumiały dla widza nie Polaka.

— Nie zgadzam się z tym. W filmie Munka poruszone są zagadnienia ogólnoludzkie. Nie uważam zresztą za wadę cech narodo-

ODCZYT JERZEGO TOEPLITZA

Dnia 24 stycznia b.r. odbył się w sali Muzeum Sztuki Współczesnej w São Paulo staraniem Archiwum Filmowego i Stowarzyszenia Krytyków Filmowych odczyt prezesa światowej Federacji Archiwów Filmowych prof. Jerzego Toeplitza.

Prelegent w doskonałej francuszczyźnie zapoznał zebranych ze stanem i dążeniami współczesnej polskiej kinematografii, zatrzymując się w szczególności nad osiągnięciami awangardy filmu fabularnego, która wśród krytyków na całym świecie uzyskała miano "polskiego neorealizmu".



JERZY TOEPLITZ

wych filmu. Każdy film musi być bardzo narodowy, jeżeli chce zrobić karierę artystyczną.

Wywiad przeprowadził

Sebastian Arhens

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

JANINA CZAPLIŃSKA NIE ŻYJE

26 listopada ub. r. zmarła w Rio de Janeiro jedna z najbardziej oklaskiwanych śpiewaczek początku XX wieku, Janina Czaplińska.

Urodzona w Warszawie w r. 1886 wstąpiła do szkoły baletowej w wieku lat ośmiu i mając lat 13 została już primabaleriną. W rok później rozpoczęła występy w teatrze Nowości pod dyktando Słowińskiego. Wspaniała głos i zdolności taneczne predystynowały ją na diwę operetkową. Na początku XX w. rozpoczęła Czaplińska tournée dookoła świata spotykając się wszędzie z nadzwyczajnym sukcesem. Zawadziła też m.i. o Brazylię, gdzie występowała w r. 1912 w operetce Lehara "Ewa" w Teatrze Lirycznym w Rio de Janeiro. Brazylija wywarła na artystce tak silne wrażenie, że postanowiła tu w r. 1920 osiedlić na stałe. Corocznie jednak odwiedzała swoje miasto rodzinne.

Janina Czaplińska znana była ze swego dobrego serca i filantropii. Wielu artystów zagranicznych zawdzięcza jej pomoc finansową. Przyjmowała ich w swoim domu i nie pozwalała go opuścić dopóki nie uzyskali

(Dokończenie na str. 30)

Rio Grande do Sul ma głos

PORTO ALEGRE

JAN KRAWCZYK

NIECO HISTORII

PORTO ALEGRE oznacza: "wesoły port" i chyba nie ma w tym żadnej przesady. Miasto posiada, rzeczywiście, charakter wesoły, jest ruchliwe i pięknie położone nad rzeką Guaíba. Dostęp do morza ma Porto Alegre poprzez Lagoa dos Patos, czyli Jezioro Kaczek, i port Rio Grande.

Miasto powstało w r. 1747 pod nazwą Porto dos Casais ("port małżeństw") i początkowo jedynymi jego mieszkańcami byli miejscowi Indianie należący do koczowniczego szczepu Charruas. W jakiś czas później Portugalczycy sprowadzili tu Mulatów z wysp Azorskich i nazwali osadę Nossa Senhora Madre de Deus de Porto Alegre. W r. 1822 osada awansowała do rzędu miasta. Szczęśliwe położenie nad spławną rzeką, okoliczne równiny, nadające się do uprawy i hodowli bydła, bogactwa podziemne, jak pokłady węgla kamiennego, spowodowały szybki napływ ludności z Europy. Po Portugalczycach i Hiszpanach zaczęli przybywać Niemcy, Polacy i Włosi.

Obecnie miasto liczy ok. 700 tys. mieszkańców i posiada szereg zakładów przemysłowych, zatrudniających dziesiątki tysięcy robotników. Zabudowa ma charakter nowoczesny, nie brak pięknych parków i skwerów. Stare dzielnice wzniesione w stylu kolonialnym, jak: Azenha, Glória i Menino Deus są wyburzane. Na miejscu starych ruder wyrastają piękne, lekkie domy. Miejscowa biedota, Murzyni i potomkowie mieszkańców portugalsko-indiańskich, wycofuje się na coraz odleglejsze przedmieścia. Ludność robotnicza mieszka przeważnie w dzielnicach przemysłowych: Navegantes i São João, położonych nad Guaibą.

KOLONIA POLSKA

W Porto Alegre mieszka około 8 tys. Polaków. Pierwsza wzmianka o Polaku w dokumencie oficjalnym pochodzi z r. 1857 i dotyczy niejakiego Floriana Żurowskiego, młelniczego, który po dwuletnim pobycie na nowej ziemi tak sobie upodobał "wesoły port", że wniosł podanie do miejscowych władz o przyznanie obywatelstwa brazylijskiego.

Masowy napływ Polaków nastąpił o wiele lat później. W r. 1898 musieli już ich być w Porto Alegre dość dużo skoro w tym właśnie roku wychodzi w tym mieście "Polski Kalendarz", wydany przez Feliksa Zdanowskiego. W jakiś czas potem tenże Zdanowski opracowuje pierwszy słownik polsko-portugalski z przeznaczeniem dla nadwiślańskiego wychodźcy.

Życie organizacyjne i kulturalne zaczęło się rozwijać swobodniej, gdy założone zostały stowarzyszenia: "Orzeł Biały", "Tadeusz Kościuszko" i "Wolna Myśl", a następnie pisma: "Echo Polskie", "Polonia" i "Odrodzenie". Zorganizowane zostały również szkoły polsko-brazylijskie i stowarzyszenie sportowe "Sokół". Dzięki zainteresowaniu przede wszystkim młodzieży powołano do życia Zespół Amatorów Sceny, który parę razy do roku wystawiał sztuki sceniczne autorów polskich. Przy stowarzyszeniach czynne były biblioteki i czytelnie.

W czasie ostatniej wojny Polonia z Porto Alegre wzięła czynny udział w zbiorce funduszy na pomoc dla ofiar wojny w Pol-

sce. W krótkim stosunkowo czasie zebrano około pół miliona milrejsów, co w owym czasie stanowiło wcale pokaźną sumę.

Okres nacjonalistyczny, zapoczątkowany w r. 1938, który w innych stanach dał się dotkliwie odczuć Polakom, w Porto Alegre minął niezwykle łagodnie. Czynne tu jest obecnie stowarzyszenie "Polonia", powstałe z połączenia "Orla Białego" i "Kościuszki". Posiada ono dwa wielopiętrowe gmachy przy ul. São Pedro i własny dom wypoczynkowy na plaży w Belem Novo, przeznaczony dla członków stowarzyszenia. Dawna "Wolna Myśl" przekształciła się w czasie wojny na "Kulturę" i rozwija istotnie dość ożywioną działalność kulturalną. Dysponuje ona bogatą biblioteką, zaopatrzoną w dzieła w języku polskim i portugalskim.

Do najbardziej zasłużonych członków miejscowej Polonii zaliczyć należy następujących działaczy: Bolesława Szyszko, kowala z Łęcznej, nie żyjącego już księdza J. Anusza, Stanisława Mazurkiewicza, Jana Raina, dr. Helenę Lisińską, inż. Stefana Sobczaka, Wincentego Jankowiaka, Stanisława Karpińskiego, Rudolfa Gajewskiego, Bernarda Puchalskiego, Grzegorza Kuleszę i Aleksandra Gruszczyńskiego — ludzi pracy, ale znajdujących zawsze czas na pracę społeczną.

JAK ŻYJĄ POLACY

Większa część to robotnicy, zatrudnieni przeważnie w zakładach włókienniczych, metalowych i drzewnych. Jest również sporo rzemieślników posiadających własne warsztaty. Do najpoważniejszych należą zakłady Jarzyńskiego i braci Królikowskich. W rękach Polaków znajduje się bardzo niewiele sklepów. Jest kilku lekarzy, adwokatów i inżynierów pochodzenia polskiego. Należy tu m.in. wymienić braci Olszewskich i młodego Młynarskiego.

Wielu Polaków dorobiło się własnych domków jednorodzinnych, najczęściej drewnianych, rzadziej murowanych.

INTELIGENCJA POLONIJA

Zaliczyć do niej należy przede wszystkim najbardziej ruchliwych i znanych w miejscowym społeczeństwie — inż. Edmunda Gardolińskiego i red. Tadeusza Konarzewskiego. Pierwszy jest parańczykiem z urodzenia. W Porto Alegre mieszka od kilkunastu lat. Zatrudniony w budownictwie znajduje zawsze czas na publicystykę, po-

Z KARTY ŻAŁOBNEJ

(Dokończenie ze str. 29)

możliwości zarobkowych. Pewnego razu opłaciła bilety powrotne dla całej włoskiej trupy operetkowej porzuconej przez impresaria w Brazylii. Z tego powodu znana była wśród artystów jako Anioł Opiekuńczy. Udzielała również pomocy biednym emigrantom polskim. Dom jej przy ul. Bambina w Rio de Janeiro nazywano: "konsulatem biednych Polaków".

Mało ludzi, mało artystów pozostawiło po sobie tak dobrą pamięć jak ś.p. Janina Czapińska.

święconą zagadnieniom polonijnym. Przed paru laty był kandydatem na posła stanowego z ramienia kolonistów w Erechim. Ogłosił drukiem sporą pracę o kolonizacji polskiej w Rio Grande do Sul.

Drugi, występujący przeważnie pod pseudonimem dziennikarskim Tadeu de Onar, pochodzi z Rio Grande do Sul. Urodził się w dalekim Guarani das Missões, gdzie ojciec jego, Wacław Konarzewski, był znanym działaczem społecznym. Tadeu de Onar włada piórem z dużym talentem i jest obecnie jednym z redaktorów "Diário de Notícias".

(jk)

CO OPOWIADAŁ LAURINDO VELHO

(D. c. ze str. 31)

Campo Largo z powodu ulewnych deszczów. Było to we wrześniu 1844 roku.

Biwakowaliśmy w Campo Largo cały tydzień. Nów księżyca minął akurat z grzmotami. Jak panom wiadomo tropieży znają się na zmianach księżyca. Z doświadczeń ich ukuto przysłowie:

Quando lua nova de setembro com trovoadas

espere certo sete meses de molhada.

(Gdy nów we wrześniu z grzmotami

Przez siedem miesięcy będzie lało).

Tak też było. Padało i padało i dopiero po pełni na św. Michała wypogodziło się. Miałem dość czasu, żeby przyrzec się nowopowstającej osadzie.

Ówczesne Campo Largo wyglądało jak mała włoszczyna. Najwyżej dwanaście domków stało wzdłuż drogi wiodącej do Kurytyby. Wśród nich wznosił się niewielki murowany kościół. Była też wenda starego Custodio, ojca późniejszego wendziarza Franciszka Custodio Natel.

Wenda była uboga, bo stary Custodio był też ubogi i więcej się trudził uprawą roli i suszeniem herwy, niż handlem. Miał w swej wendzie tuzin flaszek wódki, kilka tuzinów glinianych fajeczek i zwój kręconego tytoniu (fumo de corda). Sprzedawał wszystko za wentyny.

Poza domkami położonymi przy drodze znajdowało się też w Campo Largo kilka chat rozrzuconych po lesie i zaroślach z dala od gościńca.

Cała okolica wyglądała jak faszynal pelen piniorów i krzewów zwanych vassoura i carrascal, wśród których widniała gdzieniedzie campinas lub campestre.

Bogatsi mieli domy kryte dachówką, ubożsi — kryte liśćmi takuary lub piniorowymi bicas. Bicas były to piniorowe brusy żłobione na podobieństwo rowkowatych dachówek, długie na metr i więcej i tak ciężkie, że słupy musiały być dwa lub trzy razy grubsze, niż pod dach z glinianych dachówek.

(D. c. n.)

CO OPOWIADAŁ LAURINDO VELHO

czyli Parana przed stu laty

P i n i o r

I.

Onego czasu w puszczy Assunguy mieszkali dwaj zacni przyjaciele: Przedpotopowicz i Miodowicz. Żyli cicho i w ukryciu jak dwa fiołki w trawie. Potrzeby mieli niewielkie to też nie przepracowywali się. Miodowicz za młodych lat zajmował się poszukiwaniem diamentów, a gdy się ożenił osiadł na stałe w sitio zwanym Passo Fundo. Wynajmował kaboklom kapoeiry, oddawali mu za to 20 proc. plonów. Przedpotopowicz pozostał starym kawalerem. Kochał las i nie dzierżawił kapoeirów. Miał sporo bydła, które hodował na stepie, w logradorach (zagajnikach) i w lesie. Dla własnej przyjemności trzymał kilka koni i dwa burry, z których burro Tateto słynął z rozumu i dowcipu. Przedpotopowicz nie znoślił modernizmu i swoje muły nazywał dżipami sertonu. I miał rację. Gdzie nie zajechał dżip zawiózł swego pana burro Tateto za kilka kaczanów kukurydzy. Miodowicz miał też kilka koni i mulicę bardzo inteligentną.

W każdą pogodną niedzielę przyjaciele siadali swoje kłapouchy i wybierali się w odwiedziny do znajomych tropeirów, dozorców w fazendach i poszukiwaczy herwa mate w sertonie. Dowiadywali się od nich przy szmaronie co się dzieje i co się działo w okolicy. Im starszy był kaboklo i im więcej podróżował tym ciekawsze były jego opowiadania.

Sławny miernik Sypnicki twierdził swego czasu, że takie gawędy równają się wykładom w uniwersytetach ludowych.

Ze wszystkich okolicznych kabokli był João Laurindo najstarszy. Zwano go powszechnie Laurindo Velho. Mieszkał w Agua Parada, zaścianku ludzi leśnych, w odległości trzech kilometrów od zagrody Miodowicza.

Przyjaciele wybrali się do niego w pewien piękny dzień zimowy o ciszy i zadumie polskiej jesieni. Po krótkiej jeździe stanęli przed domem Laurinda, zbudowanym na niewielkim pagórku. Gdy zaklaskali w dłonie wyszła przed dom żona kabokla. Była to kobieta wysokiego wzrostu o silnej budowie ciała i włosach przypuszczonych siwizną. Wkrótce potem zjawił się Laurindo, wyższy i bardziej kościsty od żony.

Gdy goście usiedli na werandzie drewnianego domku i zaczęło się wypytywanie o to i owo, zjawił się szmaron i paliosy (papierosy w bibułce z liścia kukurydzy).

Ciągnąc szmaron wyznał Przedpotopowicz w jakim celu przybyli.

— Chcieliśmy się dowiedzieć jak wyglądała za pańskich czasów Brazylia.

Następnie, zapytał go dyskretnie ile lat sobie liczy.

— Nie wiem kiedy się urodziłem. Matka mi mówiła, że miałem siedem lat kiedy wybuchła wojna Farrapos w Rio Grande.

— A więc ma pan 105 lat, ponieważ wojna Farrapos rozpoczęła się w roku 1835. Ładny wiek, panie Laurindo.

— Zapewne, że tak — odparł Laurindo. I po chwili, wypogadzając twarz, dodał:



LAURINDO VELHO W ROKU 1933,
GDY MIAŁ 105 LAT

— Urodziłem się w miejscowości Passa Treis u podnóża gór Poruná i São Luiz z ojca Portugalczyka i matki Afrykan-ki.

Od młodości służyłem u zamożnego fazendera w parafii Capella de Tamanduá. Tamanduá była w owych czasach małą miejsciną, nieco może większą, niż dzisiejsze São Luiz.

Mój patron, João de Deus Baptista, miał kilku niewolników, zatrudnionych przy produkcji mate. Najmował też ludzi wolnych, płacąc im za dzień pracy na roli jeden cruzado tj 400 rejsów. W obiegu znajdowały się srebrne pataki liczące 320 rejsów i trójpataki, wielkie srebrne monety wartości 960 rejsów. Kursowały też srebrne pieniądze boliwijskie i meksykańskie oraz złote onsy wartości 30, 31 i 32 milrejsów. Najwięcej się jednak spotykało monet miedzianych, zwanych wentynami, o wartości 20 rejsów

Pieniądze były wtedy bardzo drogie i trudne do zdobycia. Kraj żył w hodowli bydła i produkcji mate. Dopiero po wybuchu wojny paragwajskiej życie stało się trochę łatwiejsze. Bydło i wytwory rolne, a przede wszystkim mate, podróżni, rolnikom i kupcom zaczęło się lepiej powodzić. Jednocześnie znikły z obiegu złote i srebrne monety. Rząd wypuścił w zamian banknoty papierowe. Pierwsze banknoty były zadrukowane tylko po jednej stronie.

Wysokie ceny mate sprawiły, że biedacy, którzy stracili już nadzieję na poprawę bytu, odżyli i rzucili się na poszukiwanie herwy w dżungli.

Zdarzył się przy tym ciekawy wypadek. Pewien niezamożny kaboklo, niejaki Manoel Velloso, umówił się z właścicielem fazendy w Don Rodrigo, że będzie zbierał mate w jego lesie za co zapłaci połowę w gotowym produkcie. Chcąc ułatwić sobie poszukiwanie drzewek herwowych Velloso wraz z synem, pomagającym mu w wyprawie, wędrował drogami wodnymi. Szli właśnie korytem potoku, spływającego ze wzgórza, stary na przedzie, a syn za nim, gdy młodzieniec zauważył błyszczący kamyk na dnie strugi. Schylił się, podniósł kamyk i schował do kieszeni kamizelki.

Gdy wdrapali się na górę i zatrzymali się na odpoczynek pokazał ojcu znaleziony kryształ.

— Parece coisa boa! — zawołał Velloso. — To napewno diament.

Stracili ochotę na szukanie herwy. Wrócili na fazendę i oświadczyli właścicielowi, że nie będą dalej szukać, gdyż drzewka herwowe rosną rzadko i nie opłaca się ich eksploatować.

Nazajutrz poszedł Velloso ze znalezionym kamieniem do swego przyjaciela Felicjana, który miał wendę na Serriinha. Kamień oczarował Felicjana. Zaczęli się targować, a że Feliciano miał dużo dóbr, a mało pieniędzy stanęło na tym, że Velloso zamienił błyszczący kamień na posiadłość Felicjana, zwaną Fazendinha.

Feliciano udał się natychmiast ze zdobytym kamieniem do większego od siebie bogacza, wendziarza w Campo Largo, imieniem Chico Custódio Natel.

Chico kupił kamień. Nikt nie wie ile zapłacił. Pojechał potem do Morretes i sprzedał diament niejakiemu Pancada.

Co się działo, następnie, z kamieniem trudno dociec. Krążyły pogłoski że Pancada pojechał z nim do Portugalii, ale nie mógł go upłynnić, gdyż żaden bank nie miał dość pieniędzy.

No, ale nie opowiedziałem jeszcze panom co robiłem u mojego patrona. Miał on tropę składającą się z dwudziestu mułów, z którą jeździłem do Paiol de Telha po fiżon, kukurydzę i tytoń, a z mate do Morretes. Z Morretes przywoziłem przede wszystkim sól.

Otóż pamiętam jak pewnego razu musieliśmy zatrzymać się z tropą w

(D. c. na str. 30)



Emil Karewicz w
roli Jagiełły w
filmie Krzyżacy.



Mieczysława Ćwiklińska i Kazimierz Bier-
naeki w "Panu Jowialskim" A. Fredry na
scenie Teatru Klasycznego w Warszawie.

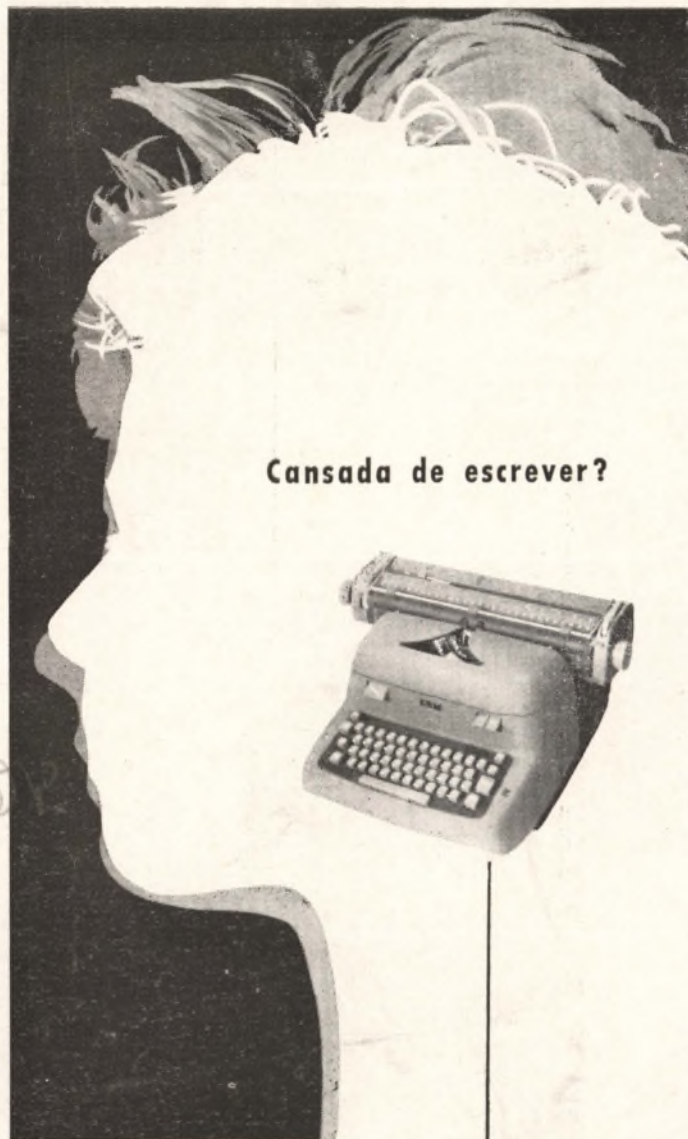
30-lecie pracy pisarskiej Wiecha. Gratula-
cje składa jubilatowi Stefania Grodzieńska



BEATA TYSZKIEWICZ — ulubienica pu-
bliczności filmowej



Jelenie w puszczy.



Cansada de escrever?



O toque leve, o teclado de "alta velocidade" da máquina de escrever IBM elétrica proporcionam maior economia de esforço e de tempo. Com uma IBM elétrica no escritório, o esforço despendido é 22 vezes menor, e o trabalho rende muito mais. O cilindro regulável permite tirar até 20 cópias legíveis.

A dactilografia na IBM elétrica é mais rápida, mais fácil e mais eficiente. A escrita é sempre nítida, limpa e uniforme.

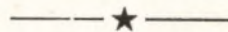
Não admira que a IBM seja a máquina de escrever elétrica mundialmente preferida.

IBM

WORLD TRADE
CORPORATION

Rua Barão de Itapetininga, 140 - 10.º andar - Telefone: 32-5167
Filiais: Rio de Janeiro - Porto Alegre - Salvador - Recife
Fortaleza - Belo Horizonte e Curitiba.
Agentes em diversas cidades.

FERRAMENTAS FIRST LTDA.



PRIMEIRO NOME EM FERRAMENTAS

ESPECIALISTAS EM FERRAMENTAS DE CORTE

BITS

BROCAS

FRESAS

MACHOS

COSSINETES

PLACAS

ALARGADORES

PASTILHAS DE METAL

DURO ETC.

Rua Florêncio de Abreu, 78 — Fones: 35-5843
e 35-2343

SÃO PAULO



EDITORIA - DIFUSORA

- PROMOTORA -

Polung Ltda.

Organização editoria
t e c h n i c z n a

MIESIĘCZNIKI :

- ☆ REVISTA DAS INDÚSTRIAS
- ☆ MÁQUINAS E EQUIPAMENTOS MODERNOS
- ☆ MATÉRIAS PRIMAS
- ☆ INDÚSTRIA NAVAL
- ☆ INDÚSTRIA NUCLEAR
- ☆ FAZENDEIRO E CRIADOR

CZYTAJCIE — PRENUMERUJCIE
OGŁASZAJCIE
W MIESIĘCZNIKACH

które stanowią lekturę obowiązujaącą ludzi
przodujących w życiu gospodarczym i prze-
mysłowym Brazylii.

SÃO PAULO — Rua Ant. Godoi, 122, 10.º Cj. 1022 —
Cx. P.: 5510 Tel.: 36-7988 (Ram.) - Telegr.: POLUNG

36

criação

Tricot-lã

sweater
original



um produto

TRICOT-LÃ S.A.

INDÚSTRIA DE MALHAS